MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 32 WARSZAWA, 8 SIERPNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

BAINVILLE O POLSCE

W JEDNYM z artykułów Bainville'a przeczytałem takie zdanie: Historia jest polityką przeszłości, polityka historią przyszłości. Dzieło Bainville'a jest doskonałym dowodem prawdy, zawartej w tym zdaniu.

Pozostawił on szereg prac historycznych, przez lat trzydzieści pisał codziennie w *„L'Action Française"* o polityce międzynarodowej. Książki jego, takie—jak o Napoleonie, lub o historii Francji przetrwają długo; artykułom natomiast dziennikarskim groziło zapomnienie. Od zapomnienia tego postanowili je uchronić przyjaciele zmarłego pisarza, podejmując wydawnictwo zbioru najlepszych z pośród tych artykułów. Niedawno ukazały się artykuły dotyczące zagadnień gospodarczych, będących w związku z zagadnieniami politycznymi (*„La Fortune de la France"*), obecnie zaś artykuły o stosunkach w Europie wschodniej p. t. *„La Russie et la bariere de l'Est"*.

Więcej niż pół tomu poświęcone jest Rosji, tuż potem idą artykuły o Polsce. Rozmawiałem wiele razy z Bainvillem o naszych sprawach — przed wojną, w czasie wojny i konferencji pokojowej i potem. Był sceptykiem, gdy chodziło o Polskę, trzeba tedy było z nim dyskutować.

Artykuły obecnie zebrane wyjaśniają ten jego sceptycyzm. Był on wynikiem tego, że gdy autor ich myślał o zagadnieniach politycznych, to zwracał się zawsze do przeszłości. Jeśli chodziło o Polskę, to pamiętał anarchię naszą wieku XVIII i współdziałanie Prus i Rosji w stosunku do Polski, oraz zachowanie się Francji wobec rozbiorów w czasie wielkiej rewolucji. Wnioski stąd wysnuwane wzmacniały jego sceptyczny pogląd na politykę współczesnej „demokracji francuskiej.

Zapewne, historia i geografia mają przemożny wpływ na kształtowanie się życia narodów. Lecz wiadomo przecież, że zmieniają się nietylko same narody i ich siła, znaczenie i dążenia, lecz także stosunki między narodami. Bo narody przechodzą okresy dzieciństwa, młodzieńczości i dochodzą do dojrzałości; a po osiągnięciu starości zamierają lub odradzają się. Naród polski — wybaczy nam czytelnik, który już uwierzył w naszą „mocarstwowość"—jest obecnie w okresie wieku młodzieńczego, to znaczy jest jeszcze narodem pierwotnym wewnętrznie i nieskrystalizowanym — wystarczy przypomnieć, że nie nastąpiło jeszcze zjednoczenie wewnętrzne pierwiastków wschodnich i zachodnich. Był okres w dziejach, gdy panował w Polsce ład i porządek wewnętrzny, anarchia nie jest przyrodzonym stanem naszym i może być przezwyciężona przez odpowiednie wychowanie narodu i doświadczenie. Biorąc to pod uwagę, trzeba jednak powiedzieć na usprawiedliwienie Bainville'a, że to, co się działo w Polsce po r. 1919 nie mogło go przekonać, że jego poglądy na „anarchię" polską są błędne.

Współdziałanie Prus i Rosji? Co do tego był najbardziej uparty. Historia zasłaniała mu całkowicie teraźniejszość. Patrzył zbliska na stosunki w Europie wschodniej, gdzie dusze narodów były już całkowicie urobione i wewnętrznie skrystalizowane, gdzie stosunki wzajemne były ustabilizowane. Należał do narodu, który jest najbardziej urobiony przez historię. Nie dostrzegał więc tych zmian, jakie się dokonywują na wschodzie Europy, właśnie w łonie dwuch narodów sąsiadujących z Polską i ich stosunku do świata zewnętrznego.

Obserwujemy wszak w naszej części Europy dwa fakty — zwracanie się Rosji ku wschodowi azjatyckiemu, gdzie dojrzewają wielkie konflikty, w których Rosja będzie musiała wziąć udział, oraz cofanie się Niemców z wysuniętych placówek na wschodzie. Front rosyjski w Azji i zakończenie się tego procesu, który zwykliśmy nazywać popularnie *„Drang nach Osten"* są to dwa fakty, które mają decydujące znaczenie dla polityki polskiej i dla przyszłości Polski.

Trudno było przekonać Bainville'a, że zjawiska te są stałe i muszą oddziałać na układ stosun-

ków w Europie wschodniej. Widać to także z jego artykułów, umieszczonych w wydanym obecnie zbiorze. Choć trzeba stwierdzić, że będąc bystrym obserwatorem, zaczął dostrzegać pewne pomyślne objawy w życiu Polski współczesnej.

Pisząc naprzykład (13 lipca 1925 r.) o znaczeniu wojskowem Polski, powiada:

„Gdy Polska po wojnie odzyskała swą niepodległość stawiono sobie pytanie, czy będąc narodem, zostanie państwem. Jej przyjaciele mogli się obawiać, a jej wrogowie żywić nadzieję, że nie zorganizuje się nigdy. Jej początki budziły pewne obawy, można było przewidywać powrót do anarchii polskiej. Polska, trzeba to powiedzieć na jej pochwałę, zaprzeczyła tym złym prognostykom. Jej postęp jest widoczny, a Rene Johannel kreśli w *„Revue Universelle“* obraz, który daje pojęcie o zrobionych wysiłkach i osiągniętych wynikach.

Pisząc zaś w dwa lata później (18 marca 1927) o stosunku polityki Anglii do Polski i stwierdzając korzystną zmianę w tej polityce, powiada:

„Polska powoli narzuciła się. Istnieje, to jest fakt. Anglia, Sowiety, Niemcy nawet liczą się z nią, jak z faktem. Nie tylko dowiodła ona swej żywotności, lecz pokazała, że dojrzewa politycznie. I powoli spostrzeżono, że gdyby jej nie było, to należałoby ją wymyślić, bo nicby jej nie mogło zastąpić jako czynnika równowagi w Europie wschodniej”

Możnaby przytoczyć jeszcze kilka podobnych cytat. Bainville pamiętał przeszłość i znał dobrze historię, miał jednak oczy otwarte na teraźniejszość, a fakty przemawiały doń bardzo silnie.

Niestety miał jeszcze jeden powód do sceptycyzmu, nisko bardzo szacował politykę Francji współczesnej. W zakończeniu wspomnianego powyżej artykułu o sile wojskowej Polski wyrywa mu się taka uwaga:

„Napisanie w traktatach lub w paktach, że Francja może przyjść z pomocą Polsce nie jest wystarczające. Trzeba jeszcze ażeby demokracja francuska zechciała to zrobić i ażeby nie była obojętna wobec losów narodów, które zna tylko z nazwy i które są bardzo daleko”.

Doświadczenie dziejowe, jak sądził Bainville, uprawnia do podobnego sceptycyzmu. Nie napróżno pisał w innym artykule (5 luty 1931):

„Pierwsza Republika, ta powstała po Rewolucji, pogodziła się doskonale z tem, by się uratować kosztem Polaków. Dwa rozbiory, w r. 1793 i w 1795 były wszak ceną zapłaconą za ustępstwa Prus po kanonadzie pod Valmy. Pokój w Bâle uświęcił tę ofiarę. A ta historia, która należy do historii, była zawsze ukrywana przed naszemi dziećmi. Żaden Francuz nie mógł się dowiedzieć w szkole o istnieniu tej plamy na dziewiczej i chwalebnej Rewolucji.”

W tych poglądach Bainville'a na wartość polityki Francji „demokratycznej” upatruje hr. de Saint-Aulaire, który napisał przedmowę do omawianego tu zbioru artykułów, główną przyczynę sceptycyzmu Bainville'a, gdy chodziło o stosunki Francji z krajami położonymi na wschód od Niemiec.

„Słabości i błędy rządu francuskiego przemawiają na rzecz poglądów Bainvile'a wypowiadanych w przyjacielskich dyskusjach, jakie się toczyły między nami na temat trwałości i skuteczności naszych traktatów z Polską i z Małą Ententą. Jego zdaniem przeceniłem te traktaty, podczas gdy mnie się zdawało, że on ich nie doceniał. Jego sceptycyzm nie dotyczył żywotności tych narodów — mniej wysiłku wymaga życie niż z martwych powstanie — ani też ich wierności dla Francji, lecz raczej zdolności naszego demokratycznego ustroju do zapewnienia im takich gwarancyj, ażeby je powstrzymać od szukania tych gwarancyj gdzieindziej”.

Późniejsze wypadki potwierdziły, niestety, te przewidywania. Uważnie też przyglądał się Bainville normalizacji stosunków między Polską i Niemcami, a jego gorzka uwaga z dn. 29 stycznia 1935 r.—Polska sądzi, słusznie czy niesłusznie, że jej niepodległość jest lepiej zabezpieczona przez porozumienie z Niemcami—stoi w oczywistym związku z rozważaniami wspomnianemi przez hr. de Saint-Aulaire'a.

Dla wielu Polaków, mających przesadne pojęcie o sile, a zwłaszcza w rozumie politycznym współczesnych pokoleń w Polsce czytanie artykułów Bainville'a przyniesie niejedno przykre uczucie. Lecz kto myśli spokojnie i trzeźwo o stanie obecnym Polski i o jej możliwościach, kto na drodze logicznego myślenia szuka odpowiedzi na różne zagadnienia naszego bytu, ten przeczyta artykuły francuskiego publicysty z przyjemnością i z pożytkiem. Można się z nim nie godzić co do odpowiedzi na poszczególne pytania, można podawać w wątpliwość ten lub ów jego pogląd historyczny czy polityczny. Nie można mu odmówić znajomości historii, umiejętnej obserwacji życia współczesnego, a zwłaszcza jasności i przenikliwości umysłu. Gdyby ktoś szukał na to dowodów, to wystarczy stwierdzić, że artykuły jego pisane w okresie między rokiem 1908 a 1935, wytrzymały próbę czasu i dziś zebrane w książce nie utraciły swej wartości i mogą być czytane z niesłabnącem zainteresowaniem.

STANISŁAW KOZICKI

ŻYDZI W EGIPCIE

(Dokończenie)

III

A TERAZ postawmy sobie pytanie, jak wyglądała opozycja? Przypuszczam, że opierając się na późniejszych tekstach możemy bez wahania włożyć w jej usta następujące słowa, zwrócone w stronę Mojżesza:

„Podobno niema grobów w Egipcie i dlatego chcesz nas pobrać, abyśmy pomarli na puszczy? Idź precz od nas, abyśmy służyli Egipcjanom! Daleko bowiem lepiej służyć im, niżeli pomrzeć na puszczy! (*Ex*. 14, 11 — 12). Cóż będziemy pić? (15, 24). Siedzimy nad garnkami mięsa i jemy chleb w sytości, a ty chcesz nas wywodzić na tę puszczę, abyś wszystko mnóstwo głodem pomorzył? (16, 3). Któż nam da mięsa do jedzenia? Wspomnij na ryby, które jadamy w Egipcie darmo! Niech ci przyjdą na pamięć ogórki i melony, i łuczki, i cebule, i czosnki! (*Num*. 11, 4—5). Ziemia, do której chcesz nas posłać, zaiste opływa mlekiem i miodem, ale obywatele ma bardzo mocne i miasta wielkie i murowane! Amalek mieszka na południe, Hetejczyk i Jebuzejczyk i Amorejczyk po górach, Chananejczyk zaś mieszka nad morzem i przy rzece Jordanie! Żadną miarą nie możemy ciągnąć do tego ludu, bo mocniejszy jest niźli my! Ziemia ta pożera obywatele swe! Lud jej wysokiego wzrostu jest! Tam widziane są dziwy synów Enak z rodu olbrzymskiego, do których

porównani zdamy się jako szarańcza! (*Num.* 13, 28 — 34). Obyśmy lepiej pomarli w Egipcie a nie wprowadzali się do tej ziemi, kiedy upadniemy od miecza a żony i dziatki nasze będą zaprowadzone w niewolę!" (*Num.* 14, 3).

Jeżeli Mojżesz tej opozycji nie złamał, to w każdym razie zdołał ją czasowo przytłumić (aż do ewentualnego niepowodzenia) i stanął przed ludem. Nie miał z nim żadnej trudności. Lud, jak to lud, impulsywny i poprzednio „obrobiony" przez zwolenników Mojżesza, nadspodziewanie szybko „schyliwszy się pokłon uczynił" przed laską, zmienioną w węża, przed udowodnioną w ten sposób wieścią, iż „nawiedził Pan syny Izraelskie", przed większością starszyzny i przed bogactwem ziemi obiecanej.

Pozostał do „obrobienia" Faraon.

Zadanie nie było łatwe. Mojżesz, który wiedział, że „Izraela nie puści król Egipski... jeno przez można rękę" (*Ex.* 3, 19), musiał się za tą ręką obejrzeć, aby uzyskać dwa pozwolenia: 1) na pójście w drogę trzech dni na puszczę (3, 18), 2) na zabranie ze sobą „wszystkich bogactw Egipskich", skrzętnie gromadzonych, odkąd „uradowany" poprzednik Ramzesa tak wspaniałomyślnie przeznaczył je dla Józefowej braci.

Trzech dni potrzebował Mojżesz, ażeby zamienić nieuniknony pościg w żmudną, prawie że wojenną wyprawę, bogactw zaś potrzebował dlatego, że bez nich cała impreza byłaby bezcelowa. I Mojżesz wpadł na genialny pomysł.

Egipcjanie nie lubili zadzierać z Bogami a zwłaszcza z Bogami ludów podbitych. Bóg, pozbawiony swoich poddanych, więc i ofiar, o które najwięcej mu chodziło, mógł — zdaniem Egipcjan — mścić się na zwycięzcy w sposób przerażający. Pomijając mory, grady, szarańcze itp. środki pokojowe, mógł zawrzeć przymierze zaczepno-odporne z jakim innym, potężnym Bogiem i wywołać wojnę. Dlatego walcząc z ludźmi nie tylko oszczędzano ich Bogów, ale nawet oddawano im specjalne honory. Przede wszystkim otwierano przed nimi Panteon. Z tą chwilą Bóg podbitego ludu awansował, bo przecież stawał się Bogiem tryumfatorów.

Wychodząc z tego założenia, wierząc w jego skuteczność a wiedząc, że bogom świeżo podbitej Palestyny, więc i Bogu synów Izraelskich należą się od Egipcjan wyjątkowe względy, Mojżesz postanowił zaszachować Faraona „Tym który jest", który mu się dopiero co objawił „w płomieniu ognistym z pośrodku krza", to znaczy Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, Bogiem Hebrejczyków: Panem. O Bogu tym, co prawda, w Egipcie nikt nie słyszał, ale Mojżesz mógł przypuszczać, a może nawet i wiedzieć, że w palestyńskiej tradycji Pan żyje i że wskutek tego dla Merneptaha, pogromcy Palestyny, nie będzie zupełną nowością. Gdyby tak istotnie było, miałby Mojżesz „możną rękę" po swojej stronie i mógłby śmiało rzec, jak to uczynił.: „To mówi Pan Bóg Izraelów: puść mój lud, aby mi ofiarował na puszczy". (*Ex.* 5, 1).

Pozostawałaby więc kwestia trzech dni drogi. Ta kwestia była niebezpieczna. Chociażby Merneptah nawet i wiedział o Panu, chociażby nawet i uznał konieczność złożenia mu ofiary, to jak wytłumaczyć potrzebę nie tylko puszczy, ale i trzydniowej wędrówki? Ten ostatni szczegół mógł wzbudzić w Faraonie podejrzenie, co gorsza, utwierdzić go w przekonaniu, że nieuniknione w takich okolicznościach pogłoski o knowaniach synów Izraelskich (projekt złupienia Egiptu) nie są wyssane z palca.

Na pytanie, dlaczego synowie Izraelscy muszą iść aż na puszczę, ażeby ofiarować Panu, miał Mojżesz gotową odpowiedź: „Jeżeli będziem zabijać to, co chwalą Egipcjanie, (zwierzęta czczone przez Egipcjan) przed nimi (to) ukamienują nas" (8, 26). Na pytanie, dlaczego synowie Izraelscy muszą ciągnąć na puszczę z wszystkiemi stadami, tak, żeby w ziemi Egipskiej nie „zostało z nich ani kopyto", miał Mojżesz również gotową, chociaż mniej jasną odpowiedź: „Nie wiemy, co się ma ofiarować, (jaki rodzaj bydląt) aż na samo miejsce przyjdziemy", (10, 26). Ale na pytanie: dlaczego synowie Izraelscy potrzebują „drogi (aż) trzech dni", Mojżesz nie mógłby odpowiedzieć. Głęboko wierzący, pełen pokory i ufności złożył tę odpowiedź na barki Pana i wystarał się o audiencję. Wynik jej był jak najgorszy. Zaraz na wstępie okazało się, że Faraon o Panu nic nie wie, bo rzekł: „Kto jest Pan, żebym słuchał głosu jego a puścił Izraela? Nie znam Pana, a (więc) Izraela nie puszczę". Mojżesz, który żądając puszczenia ludu użył określenia: „to mówi Pan, Bóg Izraelów" odrazu spostrzegł swoją pomyłkę i powtórzył żądanie mówiąc: „Bóg Hebrejczyków wezwał nas, abyśmy szli trzy dni drogi na puszczę i ofiarowali Panu Bogu naszemu: by snać nie przyszedł na nas mór, albo miecz".

W tych słowach zaświecił cały geniusz dyplomacji Mojżeszowej. Oto ich właściwe znaczenie:

Jeżeli nie znasz Pana, to nie wiesz, że jest on Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakóba, którzy byli Hebrejczykami i z których wywodzi się zarówno Egipski jak i palestyński Izrael. Ponieważ wytępiłeś nasienie Izraelowe w Palestynie, przeto wytępiłeś Hebrejczyków, a czyniąc to uszczupliłeś ofiar Bogu ich, czyli Panu. Ponieważ Pan „zawistny jest", radzę ci jak najrychlej ubiegać się o jego względy: bo w przeciwnym razie może przyjść na nas, więc i na was mór, albo, co jeszcze gorsze, miecz. Ale Faraonowi utkwiły w głowie „trzy dni drogi". Odkładając więc na później zapoznanie się z Panem, zapytał: „Przecz, Mojżeszu i Aaronie, odmawiacie lud od robót ich? Idźcie do ciężarów waszych" (5, 4), potem zaś wydał rozkaz: „Niech (synowie Izraelscy) będą uciśnieni robotami i niechaj je wypełnią, aby nie przestawali na słowach kłamliwych". (5, 9).

Mojżesz poniósł zupełną porażkę, jednak, zamiast dać za wygraną, postanowił obstawać przy zasadzie ofiary, wychodząc z założenia, że Faraonowi przystojniej będzie ustąpić przed Bogiem niż przed Izraelem. I zaczęto walkę na Bogi.

Pierwszy okres tej walki był znowu klęską dla Mojżesza. Cokolwiek „uczynił Faraonowi, ażeby widzieli Egipcjanie, że Bóg Izraela jest Panem, który wyciągnął rękę swoją na Egipt", (7, 5) to samo uczynili królewscy mędrcy i czarownicy. (7, 11 — 22, 8, 7). Wprawdzie laska Aaronowa pożarła laski mędrców i czarowników, ale zato laski ich obracały się nie w węże, lecz w smoki, a w zamienianiu wody w krew i w wywodzeniu żab nie ustępowali przedstawicielom Pana. I zatwardziało serce Faraona. Z tak słabym Bogiem nie potrzebował się liczyć. Ale wówczas Mojżesz, uzbrojony w potęgę wiary i modlitwy, zaczął gro-

zić: „Oto przypuszczę na cię i na sługi twoje, i na lud twój, i na domy twoje wszelaki rodzaj much" (8, 21) — i przyszła mucha bardzo ciężka. „Oto ręka moja będzie na pola twoje: i na konie, i osły, i wielbłądy. i woły, i owce, mór bardzo ciężki" (9, 3) — i pozdychało bydło egipskie. „Oto ja jutro tejże godziny spuszczę grad bardzo wielki, jaki nie był w Egipcie" (9, 18) — i Pan dał gromy, i grad, i błyskawice biegające po ziemi. „Oto umrze wszelkie pierworodne w ziemi Egipskiej od pierworodnego Pharaonowego... aż do pierworodnego niewolnice" (11, 5) — i pobił Pan wszelkie pierworodne. Mojżesz pokonał mędrców i czarowników, Faraon musiał ustąpić. Ale przyjrzyjmy się, w jaki sposób ustępował, ażeby zrozumieć, co było głównym powodem jego zatwardziałości.

Po pladze much, rzekł Faraon: „idźcie, ofiarujcie Bogu waszemu w tej ziemi" (a nie na pustyni). (8, 25).

Na odpowiedź Mojżesza, że z wiadomych powodów uczynić tego nie mogą, rzekł Faraon: „Jać was puszczę, abyście ofiarowali Panu Bogu waszemu na puszczy, wszakże dalej nie zachodźcie". (8, 28). Po groźbie szarańczy, kiedy to słudzy Faraonowi zaczęli szemrać: „Długoż jeszcze będziemy cierpieli to zgorszenie? Puść ludzi, aby ofiarowali Panu Bogu swemu. Izali nie widzisz, że zniweczał (przez nich) Egipt?" (10, 7) rzekł Faraon: „Idźcie sami mężowie (bez dzieci, starców, synów, córek, owiec i bydła, jak Mojżesz żąda) a ofiarujcie Panu, boście i sami o to prosill". (10, 11).

Po pladze ciemności rzekł Faraon: „Idźcie, ofiarujcie Panu, tylko owce wasze i bydło niech zostanie, dzieci wasze niech idą z wami". (10, 24). A dopiero po śmierci pierworodnego syna mówi: „Wstańcie a wynijdźcie od ludu mego, wy i synowie Izraelowi, idźcie, ofiarujcie Panu, jako powiadacie. Owce wasze i bydło zabierzcie, jakoście żądali a odchodząc błogosławcie mi". (12, 31—32).

Jeżeli do tego dorzucimy słowa: „Któż o tem wątpi, że co najgorszego myślicie" (10, 10), wówczas pojmiemy, iż Faraon ani przez chwilę nie łudził się co do Mojżeszowych zamierzeń, że nie miał siły na stawianie zbrojnego oporu i że najciężej było mu zrezygnować nie tyle z synów Izraelowych, nie tyle z ich bydła, ile z tego, co na grzbiecie tego bydła wyjedzie z ziemi Egipskiej. Tutaj możnaby powiedzieć: Faraonowi chodziło o bydło i owce, ponieważ bez nich nie mógłby Izrael wyemigrować.

Twierdzenie to uważałbym za błędne. Jeżeli Faraon godził się na puszczę, córki, syny i dzieci; jeżeli jako powód wędrówki przyjmował ofiary, w takim razie musiał godzić się i na część bydła. Ale Mojżesz wyraźnie oświadcza po dziewiątej pladze: „Wszystkie stada pójdą z nami, nie zostanie z nich ani kopyto". (10, 26). To zagrażałoby wstrząśnieniem ekonomicznem, bo jucznych i objuczonych grzbietów byłoby stanowczo zawiele. Dopiero śmierć syna i wielki krzyk w Egipcie skłoniły Faraona do uznania emigracji, królewski zaś honor kazał mu udawać, że tylko na ofiarę zezwala.

A lud Egipski, wyniszczony klęskami, najgłębiej przekonany, że źródłem wszystkich nieszczęść są synowie Izraelowi i przerażony cudami Pana, którego można ręka stała się pewnikiem, „przynaglał ludowi Izraelskiemu, aby co rychlej z ziemi wyszedł, mówiąc: w przeciwnym razie wszyscy pomrzemy". (12, 33). I aczkolwiek lud Izraelski był przynaglany, że nie miał czasu na nagotowanie „sobie najmniejszej potrawki". (12, 39), jednakowoż miał czas na załatwienie ostatniej operacji finansowej. Wyzyskując moment psychologiczny udali się żydzi do Egipcjan prawdopodobnie z taką propozycją:

Jak wiecie, idziemy na puszczę ofiarować Panu, bo jest wielkie święto Pana Boga naszego. (10. 9). Jak wiecie w czasie wielkich świąt trzeba stawać w przystojnej szacie przed Bogiem. Jak wiecie byliśmy gośćmi w waszej ziemi a wy trapiliście nas robotami ciężkiemi około przybytków waszych. I oto nie mamy ani złota, ani srebra, ani szat. A gdy Pan ujrzy nagość naszą, zawoła wielkim głosem i rzeknie: Przecz stajecie nadzy przed oblicznością moją? A gdy my odpowiemy mówiąc: „Panie! Egipczycy wonność naszą uczynili śmierdzącą przed Tobą", w on czas wyjdzie egień od Pana i pożre was jako słomę. Patrzcie się tedy i pożyczcie nam naczynia srebrnego i złotego i szat bardzo wiele.

Tylko w ten sposób możemy zrozumieć tajemniczy tekst: „A Pan dał łaskę ludowi przed Egipcjany, że im pożyczali: I złupili Egipcjany". (12, 36). Gdybyśmy bowiem usunęli na bok czynnik strachu, gdybyśmy bez zastrzeżeń zgodzili się na fakt, iż mężowie Izraelscy żądali pożyczki „od przyjaciela swego" a niewiasty prosiły „u sąsiady swej" i u „gospodyni swej", to musielibyśmy albo przekreślić zdanie: „I nienawidzili Egipcjanie synów Izraelowych i trapili je naigrawając ich (1, 13), albo też dojść do wniosku, że synowie Izraelowi złupili te „Egipcjany", które, wbrew opinii większości, były asymilatorami i pomimo plag, pomimo krzyku braci swej, pomimo straty plonów, bydła i pierworodnych synów, obdarzały żydów przyjaźnią. W pierwszym wypadku prześladowanie egipskie musiałoby prysnąć jako bańka mydlana, w drugim zaś wypadku musielibyśmy uznać synów Izraelskich za jedenastą, i bodaj czy nie najgorszą plagę egipską.

Głód ich wypędził z ziemi Chananejskiej. Osiedlili się w Egipcie w ziemi Gessen, na najlepszym miejscu ziemi Ramesses. Bawili się wychowaniem trzód, posiedli ziemię Gessen i rozkrzewili i rozmnożyli się nazbyt. W czasie budowy miast Pithom i Ramesses, trapieni ciężarami, to znaczy, wraz z Egipcjanami powołani do robót, uznali się za lud prześladowany i znienawidzony. Po śmierci króla egipskiego, Ramzesa II, korzystając z osłabienia Egiptu postanowili emigrować do również osłabionej ziemi Chanaan. Jako powód umożliwiający emigrację podali konieczność złożenia ofiar Bogu Hebrajczyków, koniecznie na puszczy, i koniecznie po trzech dniach drogi. W tym celu żądali pozwolenia na wyjście nie tylko z dziećmi, starcami, synami i córkami, ale także ze wszystkimi stadami, tak, ażeby nie zostało z nich w Egipcie ani jedno kopyto. Na stopniowe ustępstwa Faraona, który zezwolił ofiarować Bogu na puszczy, daleko, z dziećmi, starcami, synami i córkami, a że ofiarować pozwolił, więc i z bydłem niezbędnie w takich okolicznościach potrzebnym, odpowiedzieli synowie Izraelscy

ściągając na Egipt pobicie wszelkiego pierworodnego. Po otrzymaniu zezwolenia na uprowadzenie ze sobą wszystkich stad, jako żądali, złupili Egipcjany.

„I wyciągnęli z domu niewoli", zaopatrzeni „w bardzo wiele naczynia srebrnego i złotego, i szat, i owiec, i bydła, i rozmaitych zwierząt" (12, 35 — 38), ażeby posiąść ziemię pielgrzymowania swego w osiadłość wieczną" (*Gen.* 17, 8) i „wytracić przed obliczem swojem narody, do których wnijdą", (*Deut.* 12, 29) „nie zostawiając w nich nawet małego szczątku". (*Józ.* 10, 28).

K. H. ROSTWOROWSKI

SEPARATYZMY NARODOWOŚCIOWE A MASONERIA

(Dokończenie)

POLSKA i Hiszpania, to są dwa kraje, które były i są przez masonerię zwalczane bodaj najwięcej. Nasze dwa kraje były najpotężniejszymi i najpewniejszymi — na dwóch krańcach Europy — filarami katolicyzmu, to też dziełu budowania „nowej Europy", protestanckiej i masońsko-żydowskiej staliśmy najmocniej na przeszkodzie. Dla tego — trzeba nas było osłabić, lub zgoła usunąć. Dzięki masonerii i pokrewnym jej tajnym związkom, Polska doczekała się rozbiorów. Dzięki masonerii, Hiszpania pozbawiona została swego wspaniałego imperium kolonialnego.

Jak wykazuje ks. Tusquets, również i separatyzmy: baskijski i kataloński są dziełem masonerii, chcącej tą drogą w dalszym ciągu Hiszpanię osłabić. Nasuwa się w związku z tym przypuszczenie, że i ruchy separatystyczne w kresowych ziemiach polskich — ruch litewski, latgalski itd. też są dziełem masonerii, chcącej przez poodrywanie od Polski szczepów, będących na drodze do spolszczenia się, zredukować zasiąg terytorialny polskości.

Pomyślmy tylko, coby to było, gdyby się nie były na naszym wschodzie narodziły separatyzmy narodowościowe! — Conajmniej ludność katolicka, Litwini, Latgalczycy, katoliccy Białorusini, ruscy unici — byliby Polakami w tym samym stopniu, w jakim Baskowie z Nawarry, walczący dziś w szeregach requeté, są Hiszpanami. A zapewne i wśród ludności prawosławnej polskość byłaby wcale mocna — bo to wszystko wśród niej, co było niepodatne do stania się rosyjskiem, byłoby — zamiast organizować się w duchu „ukraińskim" — lgnęło do polskości.

Jakie polskie były nasze ziemie wschodnie jeszcze w roku 1863! — Przecie lud kresowy, — ruski, białoruski, latgalski, a zwłaszcza litewski — równie masowo garnął się w szeregi powstańcze, jak lud baskijski w szeregi niemal równoczesnego powstania karlistów! Nie mówiąc o Wileńszczyźnie, czy Grodzieńszczyźnie — w ziemi Kowieńskiej miało w latach 1863/64 miejsce 99 bitew i potyczek powstańczych, (oczywiście, stoczonych po stronie polskiej wyłącznie miejscowymi siłami). W ziemi Mińskiej potyczek takich stoczono 20, na Wołyniu 23, na Ukrainie 12, a nawet za Dźwiną i za Dnieprem, w okolicach, które leżą dużo bliżej Moskwy, niż Warszawy — w Witebszczyźnie 1 i w Mohylewszczyźnie 3 [5]). — Dzisiaj wszystkie te ziemie (z wyjątkiem części Mińszczyzny i Wołynia) nie należą do Polski, a polskość jest tam tępiona, lub nawet zgoła wytępiona, bądź przez litewski i latgalski separatyzm, bądź wprawdzie przez bolszewizm, ale któremu separatyzm głównie ukraiński, oraz koncepcja separatyzmu ukraińskiego i białoruskiego, wyznawana w Polsce, utorowały na te ziemie drogę.

Można sobie wyobrazić, jak inaczej Polska by wyglądała, gdyby choćby tylko Litwa do niej dzisiaj należała i gdyby jej jedność wewnętrzna nie była dzisiaj rozdzierana przez separatyzm „ukraiński" w Ziemi Czerwieńskiej! — Skoro masoneria dążyła do osłabienia i zniszczenia Polski, to nie tylko mogła, ale poprostu musiała posługiwać się w tym celu również i tym narzędziem, jakie stanowi krzewienie separatyzmu w dzielnicach kresowych.

Mgliste poczucie, że separatyzm litewski i ruski ma coś wspólnego z masonerią, miałem już oddawna. Oba te ruchy powstały przy niewątpliwym współudziale ręki pruskiej — a że Prusy zawsze były sprzymierzone z masonerią, to rzecz znana. Oba te ruchy mają zastanawiająco bliskie stosunki z potężnym gniazdem masonerii, jakiem są Czechy, — wzorują się na Czechach w metodach swej akcji, kształcą tam swą młodzież, „ukraińcy" mają tam swoje uczelnie (akademia w Podiebradach), Litwini dostosowali do wzorów czeskich swą pisownię. Oba te ruchy są dziełem prądów „wolnościowych" XIX wieku, niewątpliwie budzonych przez masonerię, a zwłaszcza ruch „ukraiński", tkwiący początkami w epoce 1848 roku, w której tajne związki typu masońskiego nadawały ton ruchom „wyzwoleńczym" w całej Europie. Już dość dawno miałem sposobność wygłaszać pogląd, że ruch „ukraiński" jest produktem ideologicznym XIX wieku i że ci, którzy mają ujemny pogląd na idee tego wieku, powinni również mieć ujemny pogląd na „ideę ukraińską".

Dopiero jednak książeczka ks. Tusquets sprawiła, iż ostatecznie zrozumiałem, że separatyzm litewski i ruski — to jest dzieło masonerii.

Ruch litewski — dokładnie tak samo, jak jak ruch baskijski — umiał ogarnąć również i liczne rzesze katolickiego ludu, wraz z duchowieństwem. Patrząc powierzchowie, można uważać ruch litewski za szczerze katolicki, tak samo, jak patrząc powierzchownie, można było jeszcze rok temu i ruch baskijski uważać za szczerze katolicki. Na codzień, te rzeczy tak wyglądały i takiemi były, bo masoneria w życiu codziennym umie być oportunistyczna i godzić się chwilowo z tym, czemu jest w zasadzie przeciwna, a nawet to — jeśli tak jej jest w danej chwili wygodniej — po-

[5]) Cytuję za dziełem St. Zielińskiego „Bitwy i potyczki 1863—1864".

pierać. Ale w momentach rozstrzygających i zwrotnych, wszystko to, co jest dziełem masonerii, jest przez nią wyhodowane i trzymane w jej ręku, staje się — choćby na pozór miało zgoła nie masońskie oblicze — sprawnym narzędziem w jej ręku i w całości rzucane jest na szalę wydarzeń po tej stronie, którą masoneria popiera. Gdy wybuchła w Hiszpanii straszliwa wojna, która miała rozstrzygnąć, czy Hiszpania — stara, katolicka Hiszpania, — będzie istnieć, czy też zginie — katoliccy, ale ukrytemi nićmi kierowani przez masonerię separatyści baskijscy stanęli jak jeden mąż pod krwawemi sztandarami komunistycznej i bezbożniczej hiszpańskiej rewolucji.

Gdy w roku 1920 hordy sowieckie ruszyły na Polskę i gdy w straszliwym, dramatycznem zmaganiu miał się rozstrzygnąć dylemat, czy Polska, — stara, katolicka Polska, — będzie istnieć, czy też zginie, — katolicka, ale ukrytymi nićmi kierowana przez masonerię, separatystyczna Litwa zawarła traktat z bolszewikami, którzy im oddali nasze Wilno — i wbiła nam nóż w plecy w najcięższej dla nas chwili atakując nas zbrojnie. I od chwili swego powstania nieprzerwanie po dziś dzień, pozostaje Litwa pomimo zmieniających się, od Rapallo aż po Hitlera — konstelacyj politycznych, stale w tych samych systemach politycznych, co Sowiety.

Jest to rzecz zadziwiająca, że ani wśród Litwinów, ani wśród „ukraińców", mimo, że ziemie, na których oba te ruchy się rozwinęły, należą — wraz z ogółem ziem polskich — do ziem najgęściej na świecie zaludnionych przez żydów — nie narodził się poważny ruch antysemicki. Wprawdzie samo życie stwarza nieraz konflikty między spółdzielczością ruską i litewską, a handlem żydowskim, stwarza walkę konkurencyjną między inteligencją litewską a żydowską, oraz rodzi litewską politykę państwową, zapewniającą adwokatom, czy lekarzom Litwinom opiekę przed konkurencją żydowską. Ale są to spory w drobiazgach; są to spory, które mogą istnieć i trwać nawet między najlepszymi przyjaciółmi. W rzeczach jednak zasadniczych — i Litwa i obóz „ukraiński" mają stale i konsekwentnie postawę filosemicką i nic nie zapowiada, by miało się to naprawdę zmienić. Trudno chyba o lepszy dowód na to, że oba te ruchy kierowane są przez masonerię i pozostają w jej politycznym systemie.

Można tu, niemal dosłownie, przytoczyć słowa ks. Tusquets: skoro Litwini i Rusini oddzielili się od Polski, wpadli nieuchronnie, dzięki prawu politycznej grawitacji, pod władzę systemu polityki masońskiej, wprawdzie w pewnych okresach czasu umiejącej i Polskę zamieniać na swoje narzędzie, jednak pomimo tego zawsze, z zasady i z całą konsekwencją Polsce wrogiej.

Oczywiście, to co wyżej napisałem, wymaga jeszcze bliższego przestudiowania i sprawdzenia w szczegółach. Polskie badania nad masonerią będą musiały objąć również i dziedzinę ruchów separatystycznych. — Jakie loże działały na naszych kresach wschodnich? Kto do nich należał? Z jakiemi krajami były one w stosunkach? Kto był masonem z pośród Polaków, którzy przykładali rękę do budzenia ruchów separatystycznych albo te ruchy popierali, albo zawierali z nimi — np. w Galicji — ugody, albo w latach wojennych i powojennych propagowali idee federalistyczne? Kim byli działacze separatystyczni: Rusini, Litwini itd., — jakie były ich życiorysy, z kim się znali, gdzie mogli wejść w styczność z masonerią?

Przy tej okazji wartoby również sprawdzić, kim był Florian Ceynowa, który w wieku XIX usiłował — bezskutecznie — dać początek separatyzmowi kaszubskiemu. Kto wie, czy i on również nie działał — nieświadomie, lub świadomie — z inspiracji masońskiej.

Zadawałem sobie nieraz pytanie, dlaczego ruchy „narodowościowe", które narodziły się nieraz nawet wśrod najdrobniejszych szczepów, — potrafiły zupełnie niektóre, nawet liczne i rozwinięte szczepy, ominąć. Naprzykład, dlaczego nie narodziła się nigdy najsłabsza nawet próba zorganizowania politycznego, lub choćby tylko kulturalnego separatyzmu wśród ludności, mówiącej językiem dolnoniemieckim.

Język dolnoniemiecki jest odrębnym językiem germańskim, odległym od języka niemieckiego conajmniej tak, jak język kataloński od hiszpańskiego, a z pewnością dużo więcej, niż kaszubski od Polskiego. Nawet dystans między mową Rusinów, a językiem polskim nie jest większy, niż dystans między niemczyzną, a dolnoniemczyzną. Język holenderski i flamandzki jest właściwie narzeczem języka dolnoniemieckiego. Holender zrozumie z łatwością rozmowę chłopów pod Emden, pod Hamburgiem, pod Szczecinem, czy nawet pod Królewcem, podczas gdy niema o tem mowy, by ją zrozumiał nieobeznany z językiem dolnoniemieckim Niemiec. Język dolnoniemiecki panuje wśród ludu wiejskiego, a miejscami i wśród części ludności miast, w całych północnych Niemczech od granic Holandii i Belgii aż po Litwę. Język ten był ongiś językiem literackim — i miał przed wiekami własne bogate piśmiennictwo, które z powodzeniem rywalizowało z piśmiennictwem niemieckiem. Nie istnieje ani na jotę mniej powodów do powstania separatyzmu dolnoniemieckiego, niż powodów do powstania separatyzmu katalońskiego. Można sobie wyobrazić, jakby dzisiaj wyglądały Niemcy, gdyby w tym samym czasie, co w Katalonii, powstał w nich i rozwinął się separatyzm Północy! — Niemcy byłyby dziś przepołowione.

Dlaczego separatyzm taki nietylko nie zakiełkował? — Już dwadzieścia lat temu, uczęszczając do gimnazjum w estońskim Tallinie (Rewlu), w którym baszta *„Kiek in de Kök"* i tysiąc innych faktów przypominały mi dolnoniemieckie tradycje tego miasta, stawiałem sobie to pytanie. Dzisiaj stawiam tezę: nie chciała tego masoneria. Separatyzm dolnoniemiecki byłby ugodził przede wszystkiem — w Prusy. Co więcej, zważywszy, że najwięcej danych do jego rozwoju byłoby z natury rzeczy tam, gdzie odrębność mowy dolnoniemieckiej jest posunięta najdalej, to znaczy w Oldenburgii i na zachodnich kresach prowincji Hanowerskiej, czyli tam, gdzie ludność jest w dużej części katolicka — mógłby on z łatwością poszukać oparcia w sąsiedniej, bratniej językowo, a również katolickiej, Flandrii, w której atmosferze duchowej, wybitnie katolickiej, przechowało się wiele śladów dawnego długiego panowania znienawidzonej przez masonerię — Hiszpanii.

Oczywiście — byłoby błędem mniemać, że separatyzmy narodowościowe były tylko przez masonerię budzone. Wiele z nich powstało z pewnością samorodnie, — głównie przez naśladownictwo. Wiele z nich również było masonerii nie

na rękę, albo też było z punktu widzenia jej interesów faktem obojętnym. Separatyzm estoński i łotewski (wobec Niemców), albo fiński (wobec Szwedów), przypuszczam, nie był przez masonerię celowo stwarzany, choć i z drugiej strony z pewnością nie był przez nią i zwalczany. Polski ruch odrodzeńczy na Górnym Śląsku, wychodzący na szkodę Prusom, a na korzyść Polsce, oraz najściślej związany z katolicyzmem, zwycięski dopiero wówczas, gdy mu grunt przygotowała walka z „Kulturkampfem", — z pewnością nie rozwinął się dzięki masonerii, ale wbrew niej. Ale bo też jest to jedyny wypadek, by narodził się i zwyciężył wielki ruch tego typu, będący polityce masońskiej nie na rękę. (Odrodzenia katolickiej Irlandii, walczącej z protestancką Anglią, zestawiać z nim nie można, bo Irlandia jest, tak jak Polska, starym narodem i ruch jej nie zaczynał się, tak jak na Śląsku, albo tak jak ruchy separatystyczne litewskie, baskijskie itd. od nowa i z niczego).

Mogły być i były ruchy narodowościowe, dla masonerii niepożądane — ale sama myśl posługiwania się temi ruchami jako narzędziem do rozbijania wielkich narodów, jest przypuszczalnie masońska. I dla powodzenia tych ruchów było rzeczą zasadniczego znaczenia to, czy były przez masonerię popierane, czy też zwalczane. Np. jest rzeczą zadziwiającą, że w żaden sposób — pomimo wielu wysiłków — nie może się rozwinąć poważniejszy ruch odrodzeńczy polski wśród protestanckich Mazurów w Prusach Wschodnich, oraz nie mógł w zeszłym wieku — wśród protenstanckiej ludności na Śląsku Wrocławskim, która jeszcze w drugiej połowie ubiegłego wieku w dużej części mówiła po polsku. I to pomimo, że oba te polsko-protestanckie szczepy miały w ub. wieku liczną polską inteligencję (głównie — pastorów), mającą wiele regionalnego, polskiego sentymentu, a nawet publikującą po polsku wiele wydawnictw, czasopism itd. — oraz, że ruchy odrodzeńcze polskie w tych dwóch ziemiach byłyby bądź co bądź miały oparcie w sąsiednich dzielnicach historycznie polskich. — Dziwny „pech", który prześladuje wszelkie próby wywołania na Mazurach (nie mówiąc już o Dolnym Śląsku) polskiego ruchu separatystycznego wobec Prus — nieodparcie nasuwa przypuszczenie, że próby te były paraliżowane przez masonerię, ktora w krajach protestanckich i wśród inteligencji pastorskiej (jak wiadomo, niemal *„viritim"* zorganizowanej w lożach) sprawuje władzę niemal absolutną.

Z wyjątkiem górnośląskiego, wszystkie ruchy „narodowościowe", które osiągnęły jakieś rezultaty, bądź nie zwracają się przeciw nikomu (trudno ruchy: estoński, łotewski i fiński uznać za zwracające się przeciw Niemcom i Szwecji), bądź zwracają się przeciw narodom i państwom, które zwalczane są przez masonerię: przeciw Polsce (Litwa i Ruś), przeciw Hiszpanii (Katalonia i Baskia), przeciw Austrii (Czechy). I wszystkie one wytwarzają siły, pomnażające potęgę obozu masońskiego w Europie.

Rzecz ciekawa, jak trwały jest podział państw i narodów na masońskie i przez masonerię zwalczane! Pomimo wszelkich zmiennych konjunktur, Czechy od wojen husyckich po dziś dzień są gniazdem, twierdzą i podporą obozu tajnych związków. Pomimo wszelkich zmiennych konjunktur, Polska i Hiszpania są od wieków przedmiotem najzacieklejszej ze strony obozu tajnych związków nienawiści i najzawziętszych, niszczycielskich ataków. Zapewne równie nieuchronnie i równie trwale należeć będą do obozu tajnych związków separatystyczna Katalonia, Baskia, Ukraina i Litwa.

Oczywiście, nawet rzeczy długotrwałe niekoniecznie muszą być wieczne. Nawet Czechy, czy Anglia mogą kiedyś przestać być podporami masonerii. Antymason Czech czy Anglik może sobie stawiać za cel swej pracy i walki — przerobienie swej ojczyzny; trudno od niego — od członka starych, historycznych narodów — wymagać, by stawszy się antymasonem, przestał z tego powodu być też i Anglikiem, czy Czechem. Ale nie ulega kwestii, że przyjąwszy w Anglii, czy w Czechach postawę antymasońską — skazanym się jest na głębokie osamotnienie, na głęboki rozdźwięk z własną ojczyzną, z jej polityką, z jej historią, z jej ideologią. Na przykładzie Chestertona, — angielskiego katolika, który potępiać musi wszystko, czem była jego ojczyzna w ciągu długich wieków i który szukać musi dopiero gdzieś w głębokiem średniowieczu bliskich sobie pierwiastków w ojczystem życiu, — widzimy, jak trudno jest iść wbrew owym siłom politycznej i duchowej grawitacji, o których mówi ks. Tusquets.

Sytuacja katolika i antymasona Katalończyka, Baska, Litwina, czy Rusina nie jest bynajmiej tak tragiczna. Ma on możność — pozostając nadal Katalończykiem, Baskiem, Litwinem, czy Rusinem, a będąc w całej pełni katolikiem i antymasonem, stanąć na gruncie przynależności do wielkich, historycznych narodów, których szczepy: kataloński i baskijski, oraz litewski i ruski były od wieków organiczną częścią, t. j. przynależności do narodów hiszpańskiego i polskiego.

Ks. Tusquets daje Katalończykom (do których sam należy) oraz Baskom zdecydowaną receptę, którą należałoby zalecić również i naszym Rusinom, oraz (bynajmniej nie jest jeszcze na to za późno!) Litwinom. „Najbardziej elementarna taktyka nakazuje katolikom baskującym i katalonizującym, by umieli się wznieść ponad swe uczucia regionalne, by je w sobie pokonali, idąc włącznie aż do ich poświęcenia, ażeby ratować Wiarę w łączności z Hiszpanią, katolicką z samej swej natury *(por esencia)*".

I jeszcze jedno, Ks. Tusquets pisze pod adresem Basków: „Gdy Wasi ludzie występują w ramach Baskii, przechodzą niepostrzeżeni w historii świata. Gdy wasi ludzie wcielają się w Hiszpanię, osiągają najwyższe szczyty uniwersalności". Ks. Tusquets wymienia nazwiska wielkiego żeglarza, Juan Sebastian Elcano, który po śmierci Magellana obiął dowództwo nad jego wyprawą i pierwszy objechał świat dookoła — oraz św. Ignacego Loyola, założyciela zakonu Jezuitów. — Pozwolę sobie przypomnieć w związku z tem moje własne słowa (z książki „O program polityki kresowej"), że szczep białoruski, gdy chce być tylko białoruski, to wydaje z siebie poetów na miarę Janka Kupały, ale gdy splata się w jedno z polskością, wydaje poetów na miarę Adama Mickiewicza.

Likwidacja separatyzmów: baskijskiego, katalońskiego, litewskiego i „ukraińskiego" (choć bynajmniej nie regionalnej odrębności danych

szczepów, odrębności uzasadnionej i pięknej), byłaby nie tylko wielkim ciosem dla masonerii, ale i wielkiem dobrodziejstwem kulturalnym dla tych szczepów. Narodowa Hiszpania postawiła sobie za cel swoje separatyzmy zlikwidować. Wierzę — i głoszę tę wiarę nie od dzisiaj — że my możemy i musimy zlikwidować też i seperatyzmy nasze. Nie tylko ruski, ale i litewski. Tak, aby odnowiło się odwieczne — przelotnie dziś przez masonerię doprowadzone do rozwodu — małżeństwo Korony i Litwy.

Doprowadzenie do tego jest jednym z wielkich dziejowych zadań polskiego ruchu narodowego i polskiej narodowej idei.

JĘDRZEJ GIERTYCH

P. S. W poprzednim numerze w tym artykule poprawić trzeba: na str. 477 szp. 2 w. od dołu 13: zamiast żydom powinno być „rządom".

TEATR POLSKI I MUZYKA NA LITWIE

NAKŁADEM wydawnictwa im. Stanisława i Tekli z hr. Borchów Łopacińskich ukazało się studium z dziejów kultury polskiej Antoniego Millera p. t. „Teatr polski i muzyka na Litwie". Jest ono niewątpliwie dowodem chwalebnego zainteresowania własnymi terenami poszczególnych regionów, ale myliłby się ten i błąd w osądzie popełniał, jeśliby pracy powyższej odmawiał znaczenia ogólnego, wybiegającego zdecydowanie poza krąg ziem litewskich, o których mowa.

Ciekawe, jak ciężar życia politycznego, militarnego i kulturalnego przesuwał się z idącymi wciąż latami historii z zachodu na wschód, jak skala życia rosła tam wraz z rozwojem potęgi państwowej, jak przejawiła się w całej pełni właśnie na ziemiach kresowych, dziś upośledzonych, ziemiach o których posiadamy jaknajbardziej fałszywe pojęcie, sądząc je właśnie po wynikach planowej ofensywy rosyjskiej barbarii — czasach od obydwuch powstań 63 roku aż po Wielką Wojnę.

Teatr polski na Litwie, to w pierwszym swoim okresie teatr dworski w Nieświeżu, Słucku i Słonimie. Data założenia radziwiłłowskich spektaklów przypada już na rok 1736. Nieśwież centralą, filiami—Biała Radziwiłłowska, Ołyka, Słuck, Żółkiew. Dużą rolę odgrywa Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa, potem Michał ks. Radziwił „Rybeńku" (roku 1761-go odegrano pierwsze próby tragedii narodowej W. Rzewuskiego: „Tragedii Żółkiewskiego z baletami" oraz „Tragedii Władysława pod Warną z baletami"), Karol ks. Radziwiłł „Panie Kochanku". 17-go września 1784 r. zagrano na scenie nieświeskiej „Agatkę", pierwszą polską operę-wodewil. Okazja była jaknajlepsza, widzem sam król Stanisław August, orkiestra pod dyrekcją Albertiniego złożona z 44 osób. Autorem muzyki do „Agatki" był Jan Dawid Holland.

Słonim Michała księcia Ogińskiego przedstawiał się jako rezydencja nad wyraz okazale, sala teatralna uderzała ogromem. Sam książę przecież był nietylko mecenasem i pierwszym widzem — wiadomo o tym dobrze. „Teatr słonimski — pisze Miller—we wszystkich formach swego przeznaczenia osiągnął wyżyny odpowiadające europejskim współczesnym wymaganiom. Jestto niewątpliwie zasługa wszechstronnie wykształconego ks. Michała. Był świetnym satyrykiem, bajkopisarzem, fachowo wykształconym kompozytorem i muzykiem, grającym na kilku instrumentach".

Białystok Jana Klemensa Branickiego i Grodno pod opieką tak wybitnego Antoniego hr. Tyzenhauza stanowią dwa niepoślednie ośrodki teatralne. W Grodnie jest nawet szkoła dramatyczna i baletowa. Od r. 1793 kieruje teatrem Jerzy Mniszech, Marszałek W.Ks. Litewskiego. Z innych ośrodków wymienić należy Różane Massalskich a potem Sapiechów, Dereczyn, Swisłocz, Zelwę oraz Dubno wołyńskie, gdzie o teatr dbał Lubomirski.

W rozważaniach na temat recepcji teatru zachodniego na ziemiach Rzeczypospolitej, obok nazwisk Hasse'go, Salieri'ego, Paësielli'ego, najczęściej przewija się nazwisko Piotra Metostasia. Był on podstawą repertuaru włoskiego teatru słonimskiego i filii Słonimia Siedlec, bal—wszystkich owych scen. Pod jego też wpływem przemożnym tworzyła i księżna Radziwiłłowa.

Walka jezuitów o swój styl z pijarskimi nowinkami niemało się przyczynia do pobudzenia inwencji, oraz wprowadzenia do kraju Francuzów. Oczywiście obok Corneille'a, Racine'a, Moliér'a i Voltaire'a, obok prób szczęśliwych, udanych polskich, teatr włoski wciąż jest w modzie, zmienia się tylko jego styl, tak jak zmienia się i styl życia.

Niezmiernie ciekawymi są przytoczone przez Millera uwagi prof. Riezanowa o wpływie szkolnego teatru jezuickiego na religijny teatr rosyjski w Kijowie. Kwestia teatralności sceny jezuickiej czy jest przejawem świetnej ich linii programowej nawet i na tym polu, czy jest poprostu zabytkiem barokowej formy tak ściśle zespolonej z propagandą (nie obawiajmy się użycia tego słowa, tak właściwego) katolicyzmu? — oto kwestia, na którą naprawdę warto podyskutować.

Zmiany polityczne, zniszczenie państwowości polskiej a więc i zmiany ustrojowe, a także socjalne, których do tej pory nie doceniamy dostatecznie, wzrost znaczenia miasta jako ośrodka skupiającego wzory życia, pozwoliło Wilnu, gdy teatry dworskie poczęły upadać, na utrzymanie swojego teatru. Omawiana książka wylicza tu zasługi Bogusławskiego, (którego zasług do tej pory nie potrafimy ocenić tak jak należy, mimo, iż zdobyliśmy się ostatnimi laty na pomnik), wileńskiego magistratu i patriotycznego społeczeństwa, przyczyniającego się do utrzymania w Wilnie do r. 1845-go „sceny polskiej, jedynej bez inwazji języka cudzoziemskiego". Talent organizatorski Bogusławskiego, oraz jego siła żywotna poprostu zdumiewa. Jest wszędzie: Warszawa, Wilno, Lwów i cały długi szereg miast gdzie przybył ze swą trupą, by odjechać gdzieindziej, znowu dać cykl przedstawień, budzić zamiłowanie do sztuki teatralnej drogą poprzez życie, a interesować problemami życia poprzez sztukę. To jego nawskroś społeczne, głębokie ujęcie zadania zupełnie usprawiedliwia nazwanie jego całej działalności mianem „misji".

Z wybitniejszych sił trupy wileńskiej ówczesnej wymienia Miller Andrzeja Mierzyńskiego, Jakuba Hempińskiego, Franciszkę Pierożyńską, Salomeę Desznerową, Petronelę Drozdowską, oraz nad wyraz tragiczną Magdalenę Jasińską.

Teatr wileński od r. 1790 do 1796 przeżywał ciężki okres, gdy w Warszawie było inaczej. Dyrekcję stanowili: Dominik Morawski, Antoni Żukowski, Jan Szymański, Kazimierz Żółkiewski, Maciej Pręczyński, oraz Kwaśniewski, Żółkiewska a potem Dominik Morawski, wreszcie Marianna Morawska i Maciej Każyński. W r. 1816 zorganizowano Dyrekcję Akcyjną. Chlubnie zapisują się w historii teatru wileńskiego dyrekcje: G. Kamińskiego i K. Skibińskiego. Zmienia się sytuacja po wojnie rosyjsko-polskiej r. 1831-go. Nacisk władz rosyjskich jest coraz silniejszy. Rok 1845 niszczy dotychczasowy teatr polski i stwarza dwujęzyczny. Demoralizowano aktorów podwyższaląc im gaże za granie także w języku rosyjskim.

Scena wileńska promieniowała na mińską, grodzieńską i kowieńską, sama jednak była w tym czasie bardzo uzależniona od warszawskiej, która Wilnu dyktowała repertuar i wogóle nad teatrem wileńskim ciążyła dość mocno, aczkolwiek bez wielkiej krzywdy.

Od r. 1863 do 1865 następuje coraz większe rusyfikowanie sceny. Powstanie styczniowe okazało się dla Litwy tak katastrofalne, jak listopadowe dla ziem południowych Rzeczypospolitej, chociaż i rok 1831 bardzo się dał we znaki życiu kulturalnemu Wilna i jego ziem, czego charakterystycznym przejawem był choćby zanik życia muzycznego, tak przed tym rozwiniętego.

Miller w dwuch rozdziałach daje obraz rozwoju kultury muzycznej od czasów dawnych, ściśle od r. 1397, którą to datę stawia jednak pod znakiem zapytania. Na uwagę zasługuje rok 1630, gdy ks. Melchior Gejsz-Heliaszewicz zakłada „Konfraternię Muzyczną”, dalej zwrócenie oczu na kapele dworskie, podkreślenie ogromnej roli Michała Kleofasa księcia z Kozielska Ogińskiego, wreszcie podkreślenie rozwoju życia muzycznego na początku wieku XIX, gdy na bruku wileńskim zjawia się prof. Holland, gdy uniwersytet tworzy pierwszy w Europie wydział muzykologiczny, gdy r. 1805 rozpoczyna się działalność d-ra Józefa Franka i jego żony. „Muzykalność Wilna i peryferyj kraju—czytamy—w epoce Mickiewicza i Słowackiego była niezaprzeczenie wysoka. Muzyka była trzonem estetycznych rozrywek. Na schyłku w. XVIII i przez XIX modnem było granie na różnych instrumentach zarówno na zamożnych dworach jak i dworkach szlacheckich. Była to gra przeważnie amatorska — ale świadcząca o potrzebie muzyki, z zamiłowania do niej płynącej. Nie brakło i dyletantów kompozytorów, których nazwiska z ich śmiercią w niepamięć poszły, gdyż tworzyli dla swego bliższego kółka. Nazywano ich „lubownikami” muzyki lub dyletantami”.

Po r. 1831 i dyletanctwo owo upada. Do czasu zabłyśnięcia Stanisława Moniuszki poziom utrzymuje dyrygent i kompozytor Wiktor Każyński. Czasy Moniuszki z pamiętną datą wystawienia „Halki” na estradzie wileńskiej jako sztuki dwuaktowej—dzień 20 grudnia 1867 r.—są czasami odrodzenia muzyki. Ciekawe, że prof. Opieński wyrzeka na okres „lubownictwa” i dyletanctwa, a przecież dzięki niemu rozkwitł oryginalny talent autora „Strasznego Dworu”.

Po Moniuszce ziemie litewskie dają nam wielkie nazwisko Mieczysława Karłowicza, któremu Miller jednak zbyt mało miejsca poświęca.

Naumyślnie starałem się z książki tej, tak niezmiernie ciekawej i tak niezmiernie pożytecznej dać garść szczegółów, ażeby ukazać chociażby najbardziej ogólne zarysy znaczenia i kultury tych postaci, które dzisiaj nazywa się „Polską B“ w przeciwieństwie do „Polski A”... to nieprawda, że im dalej na wschód tym niżej, gorzej a tylko mocniej tam byliśmy niszczeni, może dla tego również, że wysoki gatunek cywilizacji szczególnie drażnił. Takie książki, jak Millera zmieniają sądy o nas samych, niszczą mielizny myślowe, uczą patrzeć na Polskę i jakość jej kultury. Są potrzebne. Są zasługą.

W. NARUSZ

HORACY:

SPRZECZKA ZAKOCHANYCH

Donec gratus eram tibi...

ON:

Póki byłem twej łaski urokiem omamion
i dopóki młodzieniec jakiś urodziwszy
na łabędzią twą szyję nie zarzucał ramion, —
póty żyłem, nad króla perskiego szczęśliwszy!

ONA:

Póki w twem sercu żarów nie wznieciła inna,
póki Lidja od Chloi nie była godniejsza,—
póty żyłam, wieloma imionami słynna,
od rzymskiej matki Ilji wielekroć sławniejsza!

ON:

Dzisiaj Traczynka Chloe serca mego panią:
ona śpiewa tak słodko, biegle stroi lutnię!
Dalibóg, nie bałbym się życia oddać za nią,
jeno niech sroga Parka jej nitki nie utnie!...

ONA:

Kalais jest panem, syn Ornyta z Thurii;
on miłością wzajemną pali mnie okrutnie!
Niechaj po dwakroć zginę, nękana od Furji,
jeno niech jego nici sroga śmierć nie utnie!

ON:

Cóż począć, skoro miłość dawna, niewiędnąca,
wraca, zwaśnionych łącząc obręczą śpiżową?
iż jasnowłosą Chloe serce już odtrąca,
a dla wzgardzonej Lidji bije dziś nanowo!

ONA:

Chociaż on jest piękniejszy od gwiazdy na niebie,
ty zaś jako Adrjatyk, gniewem lubisz wzbierać,
choć jesteś, jak wiatr, płochy... jednak—wolę ciebie!
Z tobą tylko żyć pragnę, z tobą i umierać!

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Marchołt koniunkturalny. — Marchołtowa teoria ruchu i nakręcania. — Inicjatywa z góry, ruch zdołu. — Żeby rozruszać chłopów, huzia na ziemian. — Z żydami humanitarnie—nie trzeba ruchu. — W loży się śmieją.

KTOBY się mógł spodziewać, że Marchołt dojdzie do takiej obrotności w stosowaniu się do aktualnej mody politycznej. Czytam właśnie w kwartalniku literackim „Marchołcie", redagowanym przez prof. St. Kołaczkowskiego, sensacyjną z tytułu i treści rozprawę polityczną redaktora. Tytuł: „My pierwsza brygada i Kwartet". Z trudem przebijam się przez zawiłość pomysłów, aż dopiero na dziesiątej stronicy (518) rzecz mi się wyjaśnia. Gdyby nie ten ustęp, który niżej przytoczę, zapewne nie znalazłbym w sobie humoru do zajmowania się bliżej tą rozprawą, tak niespodzianą w organie literackim.

„Ważnym bardzo względem — pisze prof. Kołaczkowski — przemawiającym za popieraniem ruchu ludowego jest z całą oczywistością narzucająca się potrzeba zjednoczenia narodowego [podkreślenia moje], przezwyciężenia przeciwieństw między przestarzałymi już formami „endecji" i „sanacji"... jednym z najpilniejszych zadań jest wyzwolenie polityki narodowej z endecji. Trzeba odendeczyć endeków. Wady uporczywe, czepiające się młodej generacji narodowców, wskazują na tę „klątwę Atrydów". Tylko tak niewątpliwie narodowy, jakim będzie każdy ruch ludowy, może wziąć w siebie, roztopić w sobie nacjonalizm dziejowy, wyzwolić go z histerii, płynącej z niemocy i z kołtuństwa proweniencji małomieszczańskiej..."

Marchołt, jak widzimy, folguje swej sprośności słownictwem, zapożyczonym z publicystyki żydowskiej. Tam także nie lubią wnikania w pojęcie „narodowy" w sposób nacjonalistyczny. Wyraz „naród" wystarczy, a cóż dopiero jeśli się doda do niego sukmanę. Marchołt przyodział się po krakowsku na ten występ polityczny. W całej rozprawie nie ma nic do powiedzenia o żadnym innym stronnictwie, jedno tylko Narodowe (właśnie narodowe) mu wadzi...

Trzeba się przyjrzeć Marchołtowi uważniej. Niby to chodzi mu o „zjednoczenie narodowe", ale wyłącza z niego największe w kraju stronnictwo, któremu Polska od lat 40 zawdzięcza w teorii i w realizacji wszystkie swoje zdobycze myśli politycznej. Czyżby Kołaczkowski, taki uzdolniony historyk literatury nowoczesnej, nie znał pracy i zasług tego stronnictwa?

Marchołt ostatni — Kasprowiczowski — był autentyczny, szczerozłoty w swej humanistycznej mądrości, czcicielem był prawdy.

— — — — — — — — — — — — —

Nie każdy pewno wie o tym, że mamy uczonego krakowianina, Bronisława Malinowskiego, etnografa i socjologa, którym chlubi się Anglia jako swoim uczonym. Wykłada na uniwersytecie londyńskim. Tak się dobrze złożyło młodzieńcowi, że akurat w chwili wybuchu wojny w sierpniu 1914 r. wyjechał na badania „terenowe" (tak się nazywają teraz podróże) na odległe wyspy Oceanu Spokojnego (Trobrianda na wschód od Nowej Gwinei) i tam wśród wyspiarzy przebywał do października 1918. Ani się spostrzegł, kiedy minęła wojna europejska, bez jego pomocy. Korzystał z fundacji Roberta Monda. U nas też są Mondowie. Niedawno Malinowski wygłosił w uniw. w Harward (na kursach „Phi Beta Kappa") wykład naukowy o wojnie. Poznaliśmy ten wykład dzięki temu, że wydrukował go teraz w przekładzie prof. Stefan Kołaczkowski na pierwszym miejscu swego „Marchołta".

Prof. Malinowski ubolewa nad głupotą naszych czasów historycznych, nad którymi „dominuje wojna podobnie jak niewolnictwo i prostytucja" (445). Wojna nie jest koniecznością biologiczną. „Twierdzę — powiada — że mówić o cnotach wojskowych we współczesnej wojnie jest zwykłym fałszem" (446). Niepodoba się profesorowi zwłaszcza duch militarny faszystowski: „z dzieci robi się dobrych patriotów — to znaczy materiał nadający się na mięso armatnie" (448).

A wojna jako narzędzie polityki narodowo-państwowej? Nie ma sensu. „Ostatnią wojnę wiodły dwa zupełnie bezsensowne i politycznie absurdalne ugrupowania... Traktat Wersalski jest przykładem zaprzeczenia jakichkolwiek konstruktywnych celów wojny... tylko w pakcie Ligi Narodów wyraził się jakiśkolwiek element mądrości stanu" (449). Jak widzimy, nie zdołał przebłagać uczonego Polaka wygrany los Polski. Zbyt głębokim jest uczonym, aby go takie przypadki w błąd wprowadzały. Wojna jest nonsensem — tak mówi „zdrowy rozsądek".

Socjologów tego typu masońskiego nie trzeba szukać aż w Anglii, mamy u siebie prof. Jana Bystronia, który z nauki robi taki sam, bynajmniej nie „konstruktywny" użytek. Jego dzieło „Megalomania narodowa" jest tej samej marki pistoletem do zabijania śmiertelnego grzechu patriotyzmu i nacjonalizmu.

Jakże łatwo zastosować w ten sposób wyniki badań naukowych do wszelkich innych dziedzin życia duchowego. Na czymże innym polega bezbożnictwo? Przysłowiowy był od dawna wolnomyślny Rosjanin rezonujący, że Boga niema, bo niema duszy, a jest tylko komórka. Na tym twierdzeniu, tak prostym w swej „naukowości", oparła swe życie duchowe bolszewia.

Nikomu w tym stopniu na tym dzisiaj nie zależy, ale może przyjść taki czas, że to samo „naukowcy" uczynią z kultem piękna i sztuki.

— Piękno głowy ludzkiej? Trupia czaszka, obciągnięta skórą podziurawioną!...

W cóżby się obróciła katedra literatury prof. Kołaczkowskiego, gdyby do analizy Improwizacji Mickiewicza przystępować miał z takim skalpelem „zdrowego rozsądku?" Oczywisty nonsens, ale tak właśnie postępują dzisiaj socjologowie wobec zjawisk życia narodowego, gdy usuwają z pola widzenia wszystko, co w życiu jest irracjonalnego, idealistycznego, czy metafizycznego.

W robieniu niewłaściwego użytku z wiadomości naukowych przy pomocy jawnie fałszywej metody mistrzem jest masoneria, teroryzująca umysły według tradycyj wiedzy tajemnej starego Egiptu. Usiłuje ona stropić geniusz narodów aryjskich przez pokłócenie go z instynktem życia dziejotwórczego, przez rozbicie wrodzonego zmysłu historycznego na pierwiastki, wiodące z sobą spór dialektyczny *ad absurdum*.

— — — — — — — — — — — — —

Ile wymiarkować można z rozprawy prof. Kołaczkowskiego, dziejowy proces polityczny przedstawia się mu jako współdziałanie ruchu stanowe-

go (z dołu) z myślą krytyczną i rozkazodawczą elity; ta elita zaś to rząd państwowy, a ten rząd powstaje samorzutnie z inicjatywy jednostek (grupy). Włada życiem narodu ten, kto pierwszy powie sobie (grupie swojej): „My pierwsza brygada". Jest to kierowniczy, twórczy motyw ruchu, przy tym aprioryczny, płynący z czystego rozumu.

„Czy wyobraża kto sobie — pyta Kołaczkowski — ruch twórczy w społeczeństwie inaczej? Czy i w życiu jednostki dokonało się co wielkiego bez antycypującego przyszłość „samozwańczego" powołania? A jednak zawsze powtarza się to samo zgorszenie, ten niepokój, to mienie się na baczności i pytanie o gwarancje" (509).

Oto główna teza Kołaczkowskiego, jakaś bardzo spóźniona reminiscencja wczesnego heglizmu:

„Twórczość w łonie życia społecznego zaczyna się zawsze od inicjatywy, od sformułowania kierunku dążeń. A gdzie jest inicjatywa — tam zaczyna się wodzostwo. Gdzie jest wodzostwo — tam jest poczucie misji. Gdzie jest misja— tam jest poczucie wyodrębniającej godności i czerpana z niej siła moralna. Z dumy tej rodzi się chęć glorii, antycypująca ją wizja triumfu — łopoce sztandar i rozbrzmiewa pieśń. Czasem wobec ogromu przeciwności krzepi się ona płomieniem ofiary, czasem podnieca przekorną junacką butą. Tak poczęła się też pieśń „My pierwsza brygada" — tak dzieje się z a w s z e. Wtedy też zawsze wśród m a ł o d u s z n y c h pomrukuje się o ...zarozumiałości, o szkodliwym rozłamaniu jedności społecznej, o samozwańcach" (509).

Prof. Kołaczkowski tym różni się w argumentacji od prof. Malinowskiego, że ma fantazję literacką. Skoro wpadł na symbol „inicjatywy" w postaci piosnki żołnierskiej, to mu się po literacku skojarzył motyw Kryłowa bajki o kwartecie (zwierzęta urządziły sobie kwartet, ale nie szło, więc przesiadały się). I oto mamy już dwa symbole — i to przeciwstawne: „pierwsza brygada" = inicjatywa, rozkaz, marsz, a z drugiej strony działanie kolegialne, czekające na dyrygenta, bezradnie przesiadając się — jednym słowem „kwartet."

Nieszczere natchnienie literackie nie mogło doprowadzić do trafnej symboliki. Owa piosnka bowiem i kwartet w rzeczywistości nie są dla siebie antytezą. Humorem bajki Kryłowa barwią się właśnie kłopoty chóru z pierwszego symbolu.

W ogóle prof. Kołaczkowski w rzeczach polityki jest zupełnie niemuzykalny, choć symbole czerpie ze świata muzycznego. Niepotrzebnie do tych rzeczy się bierze. Niepotrzebnie robi z siebie Marchołta grubego a sprośnego, bo żeby Marchołtem być, nie pomoże podwatowanie statury i sztuczny temperament. Marchołta wyobrażamy sobie jako wcielenie szczerozłotej prawdy życia. Alchemią — przez kombinowanie zdobyczy wiedzy naukowej z koncepcjami filozofii spekulatywnej, z hasłami aktualnej propagandy i t. d. — tego złota się nie robi. Mądrości politycznej potrzebna jest intuicja — m o r a l n a.

Weźmy dla przykładu ową teoryjkę filozoficzną o inicjatywie, jako zarodzie ruchu. W filozofii spekulatywnej (Fichtemu np.) zupełnie wystarczała koncepcja schematyczna oderwanych pojęć takich jak myśl aprioryczna i ruch — wszystko jedno jaka myśl, jaki ruch. Myśl p o l i t y c z n a jednak musi te rzeczy kwalifikować. Inicjatywa jest dobrą rzeczą, chodzi jednak o to, żeby była d o b r a. O taką drobną rzecz chodzi, a jednak to już inny świat pojęć, świat Ethosu.

Że Kołaczkowski bierze tę sprawę filozoficznie, nie po marchołtowsku, życiowo, humanistycznie, mamy dowód w tym, że nie zajrzał nawet do tekstu piosnki. Gdyby zajrzał, nie śpieszyłby się z takim dla niej uznaniem, bo usłyszałby coś o psie i w ogóle, że się tam n i e d b a o u z n a n i e profesorów. Zaiste—potrzebna jest życiu nie tylko inicjatywa, ale i jej o c e n a.

— — — — — — — — — — — —

To inicjatywa, a co do tego r u c h u, w dole, który szuka dla siebie wodza i jego inicjatywy, zasadnicza teza Kołaczkowskiego brzmi: „B e z w s p ó ł z a w o d n i c t w a s t a n ó w — n i e m a r u c h u."Twórczość dziejowa w tym rozumowaniu — to wynik trafnego „uziemienia" rządu państwa w układzie sił społecznych przez połączenie go z najżywotniejszą w danym czasie warstwą. Kołaczkowski rekomenduje na ten cel lud wiejski, jako stan, który teraz ambitnie współzawodniczy z innymi stanami.

W Polsce po za ludem wiejskim nie ma jakoby nic, na czym by państwo mogło twórczość fundować. Ziemiaństwo — zlikwidowane, mieszczaństwo — nie ma żadnych ambicyj, inteligancja, wojsko -- to stany „oderwane od podłoża społecznego", o duchowieństwie autor nie wspomina.

W całym tym rozumowaniu jest coś bardzo staroświeckiego a zarazem niedonoszonego. Pobrzmiewają w nim echa Rewolucji francuskiej i naszego Sejmu czteroletniego z ambicjami stanu trzeciego, dalekie od tej prostej refleksji historycznej, że wtedy stany walczyły o swe prawa, obecnie zaś wszystkie są w swoich prawach zrównane z innymi. Dalekie też są te echa od prostej obserwacji, że w Polsce nie widać jakoś ambitnego „współzawodnictwa" stanu chłopskiego, skoro chłop uważa dla siebie za awans zdobycie straganu w mieście, a na polu kulturalnym główną jego ambicją jest przywdziać dziedziczne szaty kultury szlacheckiej.

Błąd pochodzi z pomieszania pojęć socjologicznych z pojęciami narodowo-politycznymi. Od stu kilkudziesięciu lat idea ludu, jako rezerwatu sił biologicznych narodu nie schodzi z porządku dziennego myślicieli i poetów polskich. Z tego założenia wyszedł program stronnictwa narodowego. Ale na jednej warstwie nie można państwa murować. Państwo ma do czynienia z całym narodem. Socjaliści i kumuniści rekomendują państwu oparcie na proletariacie wiejskim i miejskim (sierp i młot), ale bodaj konsekwentniej, bo z widokami na dyktaturę proletariatu.

Gdyby nie polityka masonerii, której potrzebny jest ten zamęt pojęć, ludzie we wszystkich „stanach" doszliby już dawno do zrozumienia, że sprawę twórczości (życia) narodowo - politycznej traktować trzeba jako proces f u n k c y j n y całego organizmu narodowego. Nie można przypisywać stanom społecznym władz duchowych, właściwych osobowościom psychicznym. Naród dopiero jest istnością psychiczną.

Ruchy społeczne i politycznie dziejowe mają swoje punkty przecięcia, ale ich linie przecinają się pod prostym kątem. Inny jest ruch czysto społeczny (stanów np.), oparty na zmyśle samozachowawczym jednostek i grup, regulujący interesy doraźne między tymi podmiotami żyjącymi współcześnie, zaś inny dziejotwórczy, oparty na przekazach między pokoleniami przeszłymi i przyszłymi, ruch osobiście bezinteresowny, porywający ideą dobra narodu. Pierwszym z tych ruchów i układów zajmuje się socjologia, drugim zajmować się powinna jakaś nacjologia.

Różnie różne stany w danej chwili dziejowej przez swoje jednostki w twórczym ruchu politycz-

nym są reprezentowane, wszakże nie jest to nigdy ruch stanów, lecz jednostek. Ten drobinowy ruch dusz patriotycznych przenika wskroś wszystkie stany od dołu ku górze i tworzy zjednoczenie narodu. Patrioci mogą się dzielić na grupy według stronnictw stosownie do poglądów na środki dochodzenia celu. Ale nie będą to podziały według stanów czy regionów. Poglądy Kołaczkowskiego są przestarzałe. W Galicji przed wojną taki był tradycyjny (po sejmach stanowych) podział na partie: konserwatyści (ziemianie), socjaliści (robotnicy), ludowcy (chłopi), demokracja (mieszczaństwo). Bezstanowość stronnictwa narodowego jest koncepcją twórczości politycznej najlepiej sprzyjającą zjednoczeniu narodowemu i zjednoczeniu narodu z państwem; jest ona zdobyczą czasów nowych, zdobyczą wielkiej wagi.

Jeżeli dusze polskie różnych stanów i regionów są dziś w Polsce jako tako zjednoczone — to wynik 50-letniej ciężkiej pracy „wszechpolskiej" tego piętnowanego „klątwą Atrydów" stronnictwa; powiem więcej: jeśli terytoria Polski są zjednoczone — to wynik myśli politycznej tegoż stronnictwa. Tam, gdzie prof. Kołaczkowski widzi zaczyn ideowy, szydzono z naszych haseł zjednoczenia.

— — — — — — — — — — — —

Czy zalecony podział na stany i regiony będzie sprzyjał hasłom zjednoczenia narodowego? W żadnym razie nie przyśpieszy zjednoczenia podszczuwanie jednego stanu na drugi. Sprawa reformy rolnej nie jest wynalazkiem dzisiejszym (rozumie ją doskonale „endecja"), ale skądże się bierze jeśli nie z poduszczenia „obcych agentur" ta zajadłość wobec ziemian. Broszury pp. Dąbrowskiej i Wielopolskiej — jedna przeciw ziemiaństwu, druga przeciw duchowieństwu — to rodzone siostry. Prof. Kołaczkowski przeoczył rozprawę swego kolegi na katedrze, dr. Karola Stojanowskiego „Chłop a państwo narodowe", a powinna go była zainteresować, skoro jest tak gorącym „ludowcem." Prof. Stojanowski jest synem ludu, lepiej zna stosunki wiejskie niż warszawianka p. Dąbrowska. Stojanowski jasno przedstawia obecny tak gorączkowy atak na ziemię, jako dywersję, odwracającą uwagę i pieniądze ludu od miast. Prowadzi się tę akcję w interesie żydów.

P. Kołaczkowski entuzjastycznie wychwala broszurę p. Dąbrowskiej i tak mu na niej zależy, że w tymże zeszycie „Marchołta" poświęca jej osobny artykuł pióra J. Spytkowskiego („Sumienie społeczne"), w którym tę broszurę propagandową Dąbrowskiej — zalicza do rzędu dzieł tak doniosłych, jak pisma S k a r g i i S t a s z i c a!

Kołaczkowskiego polityki słabą stroną jest to, że nie sharmonizował w swoim poglądzie na świat kultury tej prawdy, że rozwój kultury przedmiotowej (a więc i w twórczości społeczno-politycznej) odbywa się według tych samych praw, na jakich dokonywa się kultura podmiotowa w jednostce. Jako profesor literatury potrafił zrozumieć, na czym polega wielkość duszy twórczej Mickiewicza, że polega na o r g a n i c z n e j pełności z centralą w sercu, żądnym życia wiecznego. Takiej samej budowy i potencjalności jest psychika narodu. Nie trzeba się kusić o zastępowanie tei organiczności mechaniką.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

PO ROKU WALKI.

Rok minął w lipcu od wszczęcia przez narodowców hiszpańskich pod wodzą generała Franco, walki z międzynarodówką komunistyczną, która i na półwyspie Iberyjskim pragnęła stanąć mocną stopą, by stąd rozszerzać swoje wpływy na Zachodzie Europy.

Czerwonym zastępom nie powiodło się, przewagę mają „powstańcy", ale do ich ostatecznego zwycięstwa jeszcze nie blisko. Niecierpliwią się zwolennicy „powstańców" z tego powodu, oburzają się na wszelkich „faszystów", co im udzielają pomocy, przyjaciele „frontu ludowego", przedewszystkim o pokój świata, trwożą się politycy „wytrawni", „umiarkowani", którzy w pismach również „umiarkowanych" obu stronom walczącym w Hiszpanii zarzucają jedno i to samo, mianowicie, że zarówno szkodzą interesom narodowym półwyspu. Podobnie głęboki pogląd, wypowiedziany niegdyś przez jednego z naszych „wytrawnych" publicystów, w rozmaitych sformułowaniach znajduje dotychczas, po roku krwawych walk w Hiszpanii, oddźwięk na łamach jednego z naszych pism „umiarkowanych".

Niedawno np. spotkaliśmy się tam z poglądem, że pokój świata nie byłby tak wciąż zagrożony, jak jest, gdyby nie pomoc włosko-niemiecka okazywana w dalszym ciągu Hiszpanii narodowej.

O pomocy francusko-sowieckiej zwłaszcza, niemówiąc o angielskiej, czechosłowackiej i t. d., okazywanej stronie przeciwnej, nie było tam najmniejszej nawet wzmianki. A przecież jest to fakt tak wielkiej wagi, że gdyby nie pomoc ta, to już oddawna horda czerwona byłaby pobita na głowę. Jeśli opiera się dotychczas zwycięskim „powstańcom", to dlatego głównie, pomijając inne powody, iż otrzymuje wciąż od swoich jawnych, pół —jawnych, i niezbyt ukrytych sprzymierzeńców, oprócz znacznej pomocy w ludziach, tak obfity i tak doskonały materiał wojenny, że to umożliwia jej przedłużenie walki.

Najciekawsza, że w dostarczaniu amunicji, karabinów maszynowych, dział, tanków, aeroplanów etc., biorą żywy udział także i ci, co nieustannie zabiegają o sprawy pokoju w świecie, i, w najrozmaitszych kombinacjach, powołują wciąż innych, by im w tem pomagali.

„Naszym głównym wrogiem, mówił korespondentowi *„L'Action Française* jeden ze współpracowników generała Franco, nie jest wojsko marksistowskie: jest nim materiał rosyjski, amerykański, czechosłowacki, angielski, francuski! Jest go tak dużo i posługują się nim tak obficie, że nasze oddziały, po każdej zwycięskiej operacji, gromadzą całe tonny. Nie ulega wątpliwości, iż materiał ten dostarczany jest naszym wrogom, i przez te państwa, co jednocześnie wołały o nie—interwencję, głosiły swoją pokojowość i przybierały w Genewie oraz Londynie pozę zbawców pokoju świata".

O prawdziwości słów powyższych miał możność przekonać się ów korespondent (Pierre Hericourt), który oglądał masy zdobywanego na przeciwniku przez „powstańcach" materiału wojennego.

Z umieszczanych przez niego od 14 lipca w *„Action Française"* szeregu zdjęć fotograficznych jasno wynika kto i jakiego rodzaju, broń

oraz amunicję dostarcza czerwonej armii „legalnego" rządu Hiszpanii. Wśród dostarczycieli znajdują się oczywiście ci, co wciąż najgorliwiej pracują dla pokoju świata. Nikt temu, wobec ich stosunku do Hiszpanii narodowej, nie daje już wiary, ale nasze pisma „umiarkowane" biorą ich akcję jeszcze na serjo, a całą winę za to, że ona się nie udaje, zwalają na państwa „faszystowskie".

T. ZW. „OLIMPIADA ROBOTNICZA

Tym razem w Antwerpii, a nie w Barcelonie otworzono III-cią „Olipiadę robotniczą" z udziałem pokaźnej liczby 21 tysięcy zawodników z 16-stu państw. Roku ubiegłego wszystko już było przygotowane, rząd czerwonej Katalonii i wogóle czerwonej Hiszpanii wyłożył pokaźną liczbę pesetów, a tymczasem... tymczasem wybuchnęła narodowa rewolucja i czerwoni sportowcy znaleźli się w szeregach rozmaitych batalionów im. Karola Marksa,

Komunikaty prasowe podają iż poza Belgami najsilniej reprezentowana jest Czechosłowacja aż 2500 zawodników, Warto się nad tym zastanowić, zwłaszcza jeśli się fakt powyższy zestawić z innym międzynarodowym przejawem ducha współczesnej Czechosłowacji, wykonaniem w Paryżu na Festiwalu muzyki współczesnej uwertury do opery „Nowa Ziemia" Alojzego Haby, opartej na motywach „Internacjonału". Zajęliśmy się niedawno sprawą budowania sowieckich baz lotniczych na terytorjum czeskim, ale już zamilkliśmy i o tym nie mówimy. I wogóle nie zadaliśmy sobie wiele trudu nad poznawaniem życia wewnętrznego naszych sąsiadów, część tylko upartych zwolenników demokracji i liberalizmu tkwi w entuzjazmie dla „agraryzmu" lub kapitalistycznego przedsiębiorstwa „Baty". A tymczasem okazuje się, że pozytywistyczny ideał życia staje się motywem dla rozmaitych „Nowych Żyć", a 2500 robotników jedzie na zlot sportowy, stanowiący jedną wielką manifestację komunistyczną.

Skończmy jednak z dygresją. Polska swojej reprezentacji nie wysłała z pobudek politycznych i postąpiła najzupełniej słusznie. Nie zezwolono, również, niedawno na mecz piłki nożnej w Warszawie z reprezentacją Basków złożoną wprawdzie z katolików (a jakże! — byli na Mszy u świętego Krzyża) ale walczących po stronie czerwonych. I również postąpiono najzupełniej słusznie. Patrzenie pobłażliwe na rozmaitego rodzaju antynarodowe imprezy, chociażby tylko w formie zawodów sportowych musi się skończyć i, wydaje się kończy się już bezpowrotnie...

Komitet prasowy donosi, iż w Antwerpii tylko dwa państwa posiadają reprezentacje ogólnopaństwowe: Rosja Sowiecka i Katalonia.

Mamy nadzieję, mało — pewność, że na przyszłej „robotniczej olimpiadzie" reprezentację ogólno-państwową wystawi tylko i wyłącznie Związek Sowiecki.

IMPERIALIZM JAPOŃSKI

Co pewien czas nadchodzą z Dalekiego Wschodu wieści świadczące o zachodzących tam doniosłych przemianach stałych i z punktu widzenia militarystycznych kół Japonii konsekwentnych. Wieści owe noszą już znamię pewnego szablonu. Oto następuje jakiś zatarg między jakimś oddziałem japońskim stacjonującym w Chinach a jakimś oddziałem wojsk chińskich. Po pierwszych wymianach strzałów następuje oświadczenie japońskie skarżące się na prowokacyjne zachowanie Chińczyków i żądające satysfakcji. Przychodzi potem do następnych starć, wojska mikada przechodzą do ofenzywy i w konsekwencji czerwone słońce Nipponu znowu poraża chińskiego smoka — następuje aneksja paru nowych prowincji.

Nie wszyscy rozumieją ideję japońskiej ekspansji. Czytaliśmy przed kilku dniemi, iż Japonia nie ma potrzeby dokonywania nowych podbojów. Tak, ale tylko z pozytywistycznego punktu widzenia. Jeśli jednak wczujemy się w ducha tego zadziwiającego narodu, w jego ambicję, inaczej spojrzymy na sens polityki aneksyjnej.

Bo aneksji chcą wszyscy Japończycy, wszyscy pragną wielkości, ekspansji, podboju. W pracy czy walce dla tej idei znajdując szczęście własne, największe. Różnica tylko polega na wyborze taktyki.

Różnica nie mała. Stanowi ona nawet przedmiot między dwiema największymi siłami politycznymi: militaryzmem, spadkobiercą ducha samurajów i kapitalizmem, również źródło zadziwiającej energii czerpiącym z narodowej ambicji. Od lat już trwa wyścig licytowania się w podbojach.

Kapitalizm przeświadczony, iż zdolen jest dotrzeć wszędzie, wypiera taniością swoich wyrobów towar inny, spreparowany gdzie indziej, przez kogo innego. Głównym konkurentem jest tu oczywiście Ameryka z którą starcie z bronią w ręku uważa każdy Japończyk za nieuniknioną kiedyś konieczność. Kół wojskowych nie zadawala rozrost i akcja sfer finansowych. Kultywujący stare tradycje rycerskie w akcji militarnej znajdują tylko zaspokojenie swojej narodowej dumy. Stąd nieustanny wyścig, wewnętrzne rewolty, zamachy, stąd rozkaz do ataku, starcie jakiego oddziału japońskiego z jakimś oddziałem chińskim... itd.

Metody imperializmu żołnierzy mikada są znane, stare, wypróbowane. Metoda rzymska *divide et impera* jest zawsze aktualna. Najpierw odcięcie Korei, potem wyodrębnienie Mandżurii i osadzenie tam na tronie potomków „Synów Nieba", wreszcie wyzyskiwanie obecnie wiekowego antagonizmu pomiędzy Chinami północnymi a południowymi. Niewątpliwym sprzymierzeńcem Nipponu jest dzisiaj czas sporów wewnętrznych Rosji Sowieckiej, obawa Stalina przed potęgą nieoficjalnego „wice-króla" Syberii marszałka Blüchera. Mimo tak sprzyjającej koniunktury istnieje obawa, iż Sowiety wtrącą tu swoje trzy grosze. Generalissimus Czang-Kai-Szek zwinął wprawdzie dwanaście lat temu czerwoną chorągiew czym położył romantyczną akcję Borodina, którą przypłaciło życiem pół tysiąca oficerów Sowieckich, niemniej teraz może odnowić starą przyjaźń. Wzmocniło by to oczywiście stosunki wewnętrzne Związku Sowieckiego, ale czy na długo? Nie ulega przecież żadnej wątpliwości, że i w razie powodzenia, i w razie niepowodzenia, Chińczycy zawsze poczują się w jakimś momencie Chińczykami a kandydat na nowego Borodina może skończyć jak Borodin pierwszy — najskromniejszym stanowiskiem ludowego nauczyciela w jakiejś wsi pod Moskwą.

NAUKA i LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Dr. R. W. Hynek, jeden z najwybitniejszych lekarzy czeskich, profesor uniwersytetu w Pradze, jest jednocześnie wybitnym literatem, podobnie jak dwaj jego koledzy po fachu, lekarze: znany dramaturg Franciszek Langer, i subtelny liryk Józef Svital-Karnik, autor pięknej książki „Pod skrzydłami Białego Orła“, oddany nam całą duszą polonofil. Narówni z obu wspomnianym kolegami interesuje się w swych pismach nader często zagadnieniami religijnymi, zaś wespół z bliższym swym przyjacielem Karnikiem należy do drużyny pisarzy katolickich, którzy w Czechach dziś coraz to rosną na sile, rozporządzając wspaniałymi pismami, jak *„Archa“* i *„Poesie“* (oba utrzymane w duchu w duchu polonofilskim) i równie wspaniałymi firmami wydawniczymi z *„Vyszehradem“* na czele.

Ale prof. Hynek nie odrazu był katolikiem. Do niedawna przejęty był jeszcze duchem materializmu, do prawd wiary odnosił się sceptycznie. I właśnie gdy w imię krytycyzmu zabierał się do badania spraw, które miały związek z chrześcijańską wiarą, został nagle oświecony światłem łaski Bożej... Stało się to wtedy, gdy spojrzała na niego—Twarz Chrystusa.

A spojrzała właśnie, gdy oko ludzkie, ludzka ręka i umysł uzbrajały się przeciwko tekstowi Ewangelii we wszystkie wynalazki XIX i XX wieku. Wynalazki te nietylko nie obaliły kilkunastowiekowej wiary chrześcijan, ale potwierdziły ją w sposób tak nieoczekiwany, silny i wyrazisty, wręcz powiedzieć można: namacalny.

Oto rozeszła się wieść, że „nauka dzisiejsza fotografuje dziś, po dziewiętnastu wiekach, Ciało Chrystusa“.

Szło tu o słynny całun grobowy, w który owinięte było Ciało Chrystusowe przez Józefa z Arymatei po zdjęciu z krzyża. Na całunie tym odbiły się ślady całej Chrystusowej męki, Jego ran i potu, oraz olejków, którymi Ciało było namaszczone. Zarówno te odciski, jak też i działanie chemicznych związków sprawiły, że na całunie mamy dziś wierny negatyw całego Ciała Chrystusowego, z dwuch stron odbity.

Przez uchwycenie na kliszy fotograficznej otrzymać więc można odbicie pozytywne. Widzimy na nim Mężczyznę budowy proporcjonalnej, o twarzy pełnej dostojeństwa i szlachetności. Ułożenie Ciała, zwłaszcza nóg i rąk, odpowiada temu, co ze źródeł historycznych i archeologicznych wiadomo o grzebaniu umarłych w Palestynie za czasów Tyberiusza. Ale nietylko ta postawa, tchnąca tragicznym smutkiem, czyni na widzu wstrząsające wrażenie. Oto bowiem na całunie (znajdującym się w Turynie) widzimy wszystkie ślady ran i mąk Chrystusowych, najzupełniej zgodne z relacjami ewangelistów.

Dr. Hynek z fachową znajomością określa każde z tych skaleczeń, każdy dowód przebytej katuszy Najświętszego Skazańca; rozpoznaje uderzenie biczów, nakłucia cierni, przebicie boku włócznią; tłumaczy, czemu z boku wyszła krew z wodą, jakie sole i kwasy, zawarte w wydzielinach skóry, wywołały tę czy inną reakcję chemiczną. Cała wiedza przyrodnicza i lekarska jest tu w ścisłym sojuszu z wiarą—i nie masz pomiędzy nimi sprzeczności. Czytelnik przechodzi kartę po karcie tej niezwykle ciekawej książki nietylko z zainteresowaniem (zasługa umiejętności pisarskiej dr. Hynka), ale i z przejęciem głębokim. Choć gdy widzimy naocznie rany Chrystusowe, twarz Chrystusa zdaje się mówić, jak do Tomasza:

„Iżeś obaczył rany moje, uwierzyłeś; błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli...“

Książkę, pięknie wydaną przez księg. św. Wojciecha w Poznaniu, spolszczył dr S. Karwowski. (J. B—r.)

*

Bibliotekarz. „Biuletyn Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy”. Pod redakcją Kolegium. Wydawca Biblioteka Publ. Rocznik IX, n-r 1 i 2 kwiecień—maj 1937).

Nr 1 zaopatrzył wydawca hasłem Michała Wiszniewskiego z jego Historii Literatury Polskiej, „Wieki ciemnoty już wrócić nie mogą; jeśli jedne narody z gnuśności nie uprawiają u siebie nauk, pochodnia oświecenia nie zgaśnie dlatego; inne bowiem narody, w bardziej sprzyjającym dla nauki położeniu, krzewią i rozsypują promienie dobroczynne światła... Stąd sprawiedliwie wynalazek druku za epokę przedzielającą dwa światy w historii ukształtowania ludzi i oświecania uważać można i należy”.

W szeregu artykułów, sprawozdań i notat bibliograficznych, na temat samouctwa, samokształcenia i kształcenia, wywodząc z tradycji od Dygasińskiego aż do najnowszych, obcych, spostrzeżeń, badań i metod, przedstawia Bibliotekarz obecny stan rzeczy. Poucza, że bibliotekarstwo powinno być ujęte w system doboru książek i ich rozpowszechniania. Potrzebną w tej pracy jest postawa ideowa. „Biblioteka — pisze p. St. Tazbir — może być porównana do źródła ożywiającego, a zarazem do pewnego rodzaju duchowego ambulatorium”. O sposobach rozpowszechniania książek wartościowych i tem samem o wzmożeniu kultury pisze p. Franciszek Baturewicz w przeglądzie o bibliotekarstwie w czasopismach Italii, i o książkach z dziedziny bibliotekarstwa w Anglii i Ameryce. Pani Aniela Mikucka pisze o ruchu bibliotek oświatowych, bibliotek szkolnych i poradniach bibliotecznych w Danii i Niemczech.

Kronika podaje wiadomości o Związkach bibliotekarzy w Katowicach, Łodzi, Poznaniu, Zakopanem. Wiadomości o Kongresie w Paryżu, Bibliotece Państwowej w Tokio, Instytucie Literackim i Tygodniu Książki w Berlinie.

Sporo też wiadomości o działalności bibliotekarstwa w Sowietach, na podstawie sowieckich wydawnictw, więc zapewne dalekich od prawdy.

Poza tym, tak artykuły teoretyczne, jak i dział sprawozdań i tabel cyfrowych, zamieszczonych w pierwszym i następnym numerze Bibliotekarza, otwierają „okno na świat” tej dziedziny. Znać, że praca autorów wyrosła na gruncie zamiłowania bibliotecznej wiedzy, traktowana jest w sposób fachowy i wydatnie przyczynić się może do rozwoju oświaty i umiejętności. (A. W.)

*

Z. Zygmuntowicz. „Agaton Giller w świetle akt państw zaborczych, w 50 rocznicę śmierci”. Lwów 1937. Księgarnia T. S. L. we Lwowie.

Ten narodowiec, od najmłodszych lat bojownik o niepodległość Polski, większą część życia przebył w aresztach i więzieniach austriackich, pruskich i rosyjskich. Publicysta, pełen ognistego temperamentu, historyk, autor czterotomowej wydanej w Paryżu „Historii Powstania 1861 — 1864 r.” i dwutomowej wydanej w Lipsku „Podróży więźnia etapami do Syberii”, bywał w kraju tropiony przez policję i każdy jego powrót z emigracji powodował między administracyjnymi organami państw zaborczych ożywioną urzędową korespondencję.

Rzecz to zrozumiała i zupełnie w porządku, natomiast jakże przykro wyczuwa się i razi czytelnika wrogi do ruchu niepodległościowego stosunek niektórych Polaków. Ci na wysokich jako namiestnicy, czy niskich policyjnych stanowiskach, o duszach zatrutych serwilizmem, współdziałali w śledztwach i wydawaniu Rosji podejrzanych, między nimi tego niestrudzonego emisariusza i niezłomnego bojownika, Nawet „rosyjscy oficerowie, którzy odbierali wydalonych z Austrii z rąk uzbrojonych w karabiny i pistolety żandarmów austriackich... okazywali niedwuznacznie, że brzydzą się Austią za napędzanie im w sieci ludzi, szukających wolności“.

Trafnie, na podstawie aktów, charakteryzuje p. Zygmuntowicz atmosferę tego czasu. Rządy zaborcze prześcigały się w stosowaniu metod śledczych, prowokacyj, prześladowań ducha narodowego i kaptowania słabych natur widokami kariery i odznaczeń.

Plon pracy pisarskiej Agatona Gillera, jako publicysty i historyka, w tych warunkach, więzień, Sybiru, krycia się pod przybranem nazwiskiem, a i chorowań, obfity obejmuje kilkaset pozycyj. Był Giller wzorem szlachetnego Polaka i siewcy uczuć narodowych. Książka poświęcona jego pamięci powinna zyskać szerokie rozpowszechnienie. (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Łopalewski Tadeusz. Prawo przyjaźni. Powieść. Poznań. S. Dippel.

Karpiński Światopełk. Kredą na parkanie. Satyry i humoreski. Warsz. Gebethnor i Wolff.

Filochowski Wacław. Ziemia dwakroć obiecana. Notatki z podróży do Palestyny. Pelplin 1937. Str. 81.

Pepłowska Eliza. Metodyka i dynamika akcji komunistycznej we Francji. Warsz. 1937. Cen. Biuro Porozum. antykomunist. S. 21.

Ruch Literacki, nr. 3—4.

Bernadzikiewicz Tadeusz dr. Mała reforma etatyzmu. Warsz. 1937. Skł. gł. Geb. i Wolff. Str. 144.

Uniwersał Synarchiczny. Warsz. 1937. Związek Synarch. S. 41.

Załęski Ignacy. O polskość uczelni. Warsz. 1937. „Młodzież Katol.”. S. 14.

Lewak Adam. Polska działalność dyplomatyczna w latach 1863—1864. Warsz. (1937). S. 25.

RĘKA SOWIECKA W CHINACH

Wśród ostatnich wiadomości z pola walki chińsko-japońskiej znajdujemy taki telegram:

Londyn 30 lipca. (Orient). — „Prasa angielska interesuje się w dalszym ciągu losem marsz. Blüchera dowódcy daleko-wschodniej armii sowieckiej.

Jak wiadomo, ostatnio krążą najrozmaitsze pogłoski o marszałku. Obecnie „*Daily Express*" twierdzi, że Blücher znajduje się w Chinach, gdzie zapoznaje się ze stanem armii rządu nankińskiego i chińskiej armii czerwonej, wegetującej w północno-zachodnich prowincjach chińskich.

Blücher miał być wydelegowany przez rząd sowiecki jako znawca stosunków chińskich, gdyż dawniej spędził 19 miesięcy przy sztabie wojsk kantońskich pod przybranym nazwiskiem Galina.

Tym razem Blücher ma zadanie przyjścia z pomocą rządowi nankińskiemu w jego walce z Japonią w Chinach Północnych.

W krótkim czasie ma przybyć do Nankinu specjalna sowiecka misja wojskowa. Moskwa ma mianowicie dostarczyć Chinom samolotów bombowych i armat.

Należy dodać, że cały ruch komunistyczny w Mandżurii i Chinach Północnych jest kierowany z Chabarowska, głównej kwatery sowieckiej armii czerwonej. Propaganda moskiewska zdążała dotychczas najwyraźniej w kierunku zakłócenia stosunków chińsko-japońskich, aby w ten sposób zabezpieczyć spokój nad granicą sowiecko-mandżurską."

Jak widzimy, Sowiety odgrywają dużą rolę w tym konflikcie. Oto garść faktów zebrana z prasy zagranicznej, wyjaśniająca, jak wygląda maszyneria tych wpływów.

Okazało się mianowicie, że w Rosji sowieckiej istnieją specjalne „uniwersytety", w których szkoli się rewolucjonistów i wywrotowców dla Dalekiego Wschodu. Najważniejszymi ośrodkami, z których nieprzerwaną strugą płyną na Daleki Wschód zastępy wykwalifikowanych instruktorów komunistycznych, są: „Uniwersytet Sun-Yat-Sena dla działaczy chińskich", znany także pod nazwą: „Uniwersytet Chung-Schan" i „Uniwersytet im. Stalina dla działaczy komunistycznych na Dalekim Wschodzie" (w skrócie „Uniwersytet Wschodni"). Oba „uniwersytety" znajdują się w Moskwie.

„Uniwersytet Chung-Schan" został założony w r. 1925. Słuchaczami jego są wyłącznie Chińczycy, którym wpaja się zasady strategii i taktyki rewolucyjnej. System nauczania w tej szkole różni się w bardzo wielkim stopniu od zasad, przyjętych ogólnie w szkolnictwie sowieckim. Najzaufańsi i najwierniejsi członkowie „kompartii" wyszukują kandydatów do „uniwersytetu" na całym terytorium Chin, skąd wysyłają ich do Moskwy. Tam zapewnia się im wszelkie wygody mieszkaniowe i żywnościowe, a nawet przyznaje dość znaczne sumy na potrzeby osobiste.

Najważniejsze przedmioty nauczania to: język rosyjski, „ekonomia polityczna" marksistowska, historia polityczna, historia rewolucji bolszewickiej, historia Chin, historia „ruchu ludowego" (raczej wichrzeń bolszewickich) w Chinach, geografia, a przede wszystkim strategia i taktyka rewolucyjna i wojskowa.

W „ekonomii politycznej" mówi się prawie wyłącznie o różnicach między systemem kapitalistycznym a ustrojem kapitalistycznym. Główne miejsce w historji politycznej zajmuje rewolucja francuska. Podobnie w geografii treścią wykładów jest Rosja sowiecka i Chiny.

Podręczniki są redagowane w dwuch językach — rosyjskim i chińskim. „Ciało pedagogiczne" składa się z 50 wypróbowanych bolszewików rosyjskich i 25 chińskich. Biblioteka zakładu należy bezsprzecznie do najlepiej wyposażonych w całych Sowietach; dość wspomnieć, że liczy ona 25000 dzieł, dotyczących samych tylko Chin t Dalekiego Wschodu.

W r. 1927, t. j. w dwa lata po założeniu, szkoła wypuściła pierwszą serię „wychowanków", złożoną ze 155 wyszkolonych komunistów chińskich. W r. 1928 liczba wpisów przekroczyła już 400; dziś cyfry te wzrosły bezwątpienia jeszcze bardziej.

„Uniwersytet Wschodni" (skrót sowiecki: K. U. T. V.) jest instytucją, której przewodnictwo honorowe objął sam Stalin. Zadanie tego znów „uniwersytetu" polega na wychowaniu kadr świetnych działaczy Kominternu dla prac w krajach Dalekiego Wschodu. Uczniami są w większości Chińczycy. Nie brak jednak i innych narodowości: Mongołów, Persów, Afgańczyków, Turków i Koreańczyków. Japończyków jest stosunkowo mało. Warto jednak podkreślić, że większość komunistów japońskich, aresztowanych w latach ostatnich, była „wychowana" w tym właśnie zakładzie.

Przedmioty nauczania to przede wszystkim leninizm, dalej historia komunizmu, „ekonomia polityczna" marksistowska, historia powszechna, języki, materializm historyczny, zagadnienia polityki Dalekiego Wschodu, a w końcu technika zamieszek i wojen domowych.

Do r. 1927 w nazwie uczelni było wyraźnie podkreślone, że jest ona instytucją, podlegającą bezpośrednio władzy Centr. Kom. Wykonawczego Kompartii Z.S.R.R., to znaczy rządowi sowieckiemu. Później jednak, prawdopodobnie pod wpływem interwencji zagranicy, nazwa ta uległa zmianie. Inna rzecz, że pierwszy artykuł statutu szkoły, przyjętego przez C. K. W. mówi wyraźnie, że uniwersytet jest właśnie od tego C. K. W. zależny.

Innym jeszcze dowodem związania się zakładu z egzekutywą Kompartii to fakt, że jest on obowiązany dostarczać corocznie władzom C.K.W. szczegółowych sprawozdań z swej działalności.

Poza tymi dwoma, pokrótce omówionymi uniwersytetami, istnieje w Sowietach cały szereg innych instytucyj, których zadaniem jest specjalne przeszkolenie wojskowe słuchaczy. Spotkać w nich można bardzo wielu Chińczyków. Również licznie jest element chiński reprezentowany w Akademii Wojennej Czerwonej Armii, w Szkołach Piechoty, Wyższych Szkołach lotniczych i innych podobnych wojskowych zakładach wychowawczych.

Z zakładów wychodzą corocznie zastępy świetnie przeszkolonych instruktorów i działaczy komunistycznych, kierowanych na Daleki Wschód. Rezultatem ich pracy są właśnie wichrzenia Kuomintangu.

J. P.

NA MARGINESIE

Kto to taki?

Ważna figura—jak w kartach walet.
Ma on talentów wiele i zalet.
Umie w Paryżu budować szalet
być znawcą rzeźby, sztalug i palet,
dobrego gustu, manier, toalet.
I do oświaty także ma „tałęt",
bo umie nawet prowadzić balet,
zna się na wojsku, na kaligrafii...
On wszystko umie, wszystko potrafi
(a nade wszystko... brać grosze z kalet).

TREŚĆ:

Bainville o Polsce *St. Kozickiego.* — Żydzi w Egipcie *K. St. Rostworowskiego.* — Separatyzmy narodowościowe a masoneria *J. Giertycha.* — Teatr polski i muzyka na Litwie *W. Narusza.* — Sprzeczka zakochanych przełożył *J. Birkenmajer.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura. — Nowe książki. — Ręka sowiecka w Chinach *J. P.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.